

**Bartecka • Brzezińska • Chutnik • Danielewicz
Dziamski • Koczanowicz • Krajewska • Masada
Nowacki • Oparek • Orbitowski
Przegalińska • Soszyński • Szczerek
Wiśniewski • Wolny-Hamkało
Zdunek • Zmyślony**

**OPROWIAADANIE
•••
SUPERWIZJE**

Program

6.10.2016 czwartek

17:00 **WYSTAWA**
Historia przyszłości (wernisaż)
KONCERT
Igor Boxx

18:00 **SPOTKANIE Z ALEXEM EPSTEINEM**
Centrum Informacji Żydowskiej, Pawła Włodkowica 9

19:00 **PREZENTACJE**
Adam Kaczanowski, Tomasz Majeran,
Andrzej Muszyński, Łukasz Orbitowski,
Małgorzata Rejmer, Dominika Słowik

22:00 **FILM**
Ludzkie dzieci (2006)

8.10.2016 sobota

12:00 **FILM**
Wilsonów (2015)
SPOTKANIE Z MICHAŁEM HVORECKYM

16:00 **FUTURYSTYCZNY PERFORMANCE DO JUTRA**
tekst: Agnieszka Wolny-Hamkało
występuje: Izabela Cześniewicz
kostium: Paula Grocholska

16:15 **DYSKUSJA**
Superwizje
Ana Brzezińska, prof. Grzegorz Dziamski,
Viola Krajewska.
prowadzenie: Agnieszka Wolny-Hamkało

17:30 **SPOTKANIE Z MARKIEM ŠINDELKĄ**
Premiera zbioru Zostańcie z nami (Wydawnictwo Afera)

18:30 **PERFORMANCE MATRIARCHAT**
występuje: Adam Kaczanowski

19:00 **PREZENTACJE**
Lucy Caldwell, Jacek Dehnel, Liliana Hermetz,
Marek Šindelka, Wit Szostak, Jyrki Vainonen

22:00 **FILM**
Furia (1999)

7.10.2016 piątek

18:00 **DYSKUSJA**
Krótko i fantastycznie – o opowiadaniach z peryferii
Michał Cetnarowski, Wit Szostak.
prowadzenie: Szymon Kloska

19:00 **PREZENTACJE**
Alex Epstein, Michal Hvorecký,
Iza Klementowska, Zyta Rudzka,
Peter Stamm, Anna Weidenholzer

22:00 **FILM**
Hotel pod poległym alpinistą (1979)

9.10.2016 niedziela

11:00 **WARSZTATY ARTYSTYCZNE DLA DZIECI 7-12 lat**
Tramwaj i wieloryb - pocztówki z przyszłości
zapisy: wydarzenia@ossolineum.pl

12:00 **WRĘCZENIE NAGRÓD W KONKURSIE
NA OPOWIADANIE I W KONKURSIE
NA PRZEKŁAD**

18:00 **FILM**
Pamiętnik przetrwania (1981)

Wstęp na wszystkie spotkania, prezentacje, dyskusje
i pokazy filmowe bezpłatny. Liczba miejsc ograniczona.

„OPOWIADANIE”

numer 4 / jesień 2016
ISSN 2299-4874

redakcja: Agnieszka Wolny-Hamkało
projekt graficzny: Hubert Jerzy Kielan / @kielan_studio
ilustracje: Martyna Wędzicka / @prettyuglyproject
Hubert Jerzy Kielan / @kielan_studio
korekta: Iwona Gawryś
wydawca: Towarzystwo Aktywnej Komunikacji

Czasopismo ukazuje się w ramach
Międzynarodowego Festiwalu Opowiadania.

Międzynarodowy Festiwal Opowiadania 2014-2016 jest dofinansowany
ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz w ramach
programu Europejskiej Stolicy Kultury Wrocław 2016 we współpracy
z Biurem Festiwalowym Impart 2016.

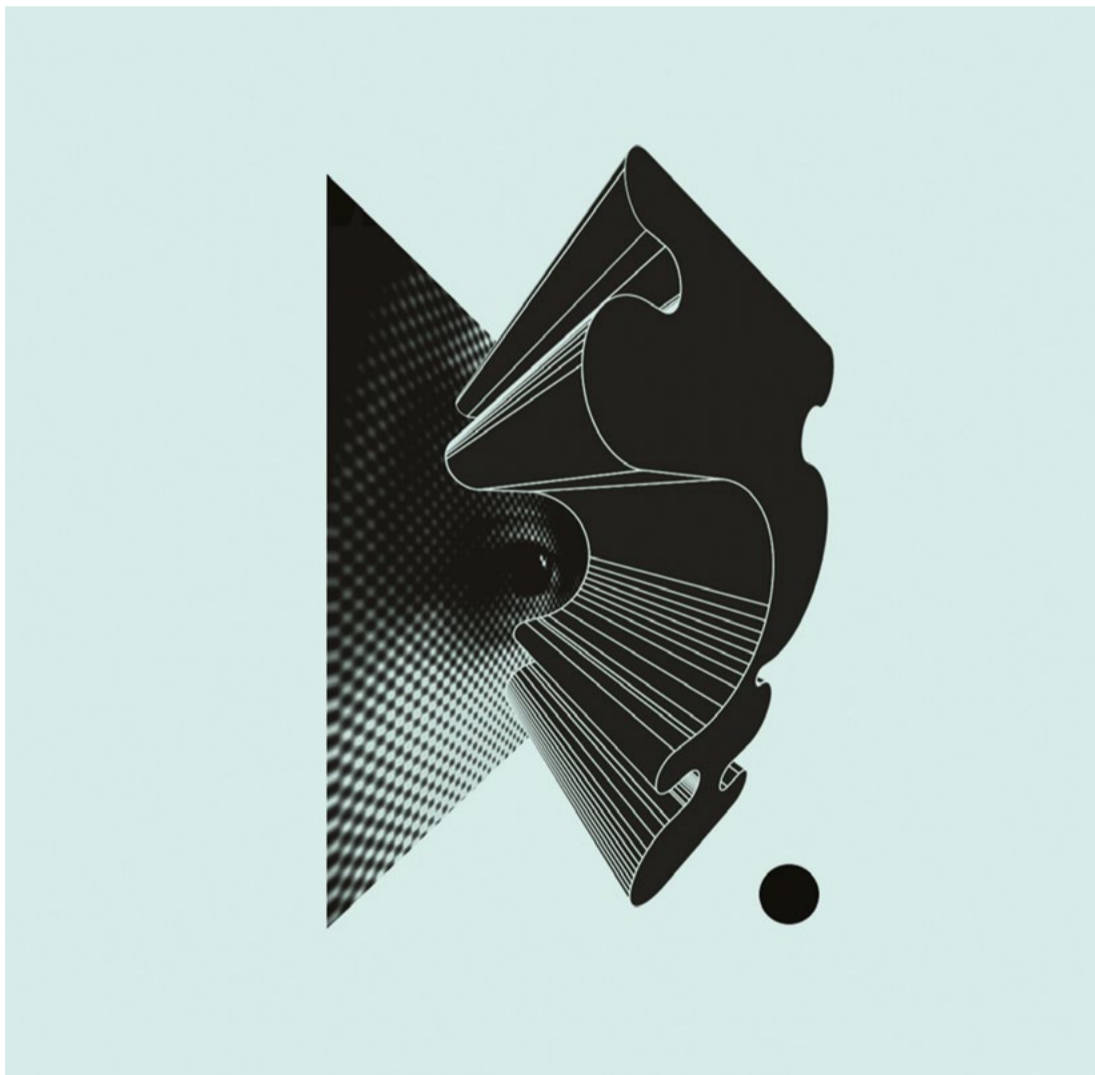
Tegoroczny Międzynarodowy Festiwal Opowiadania odbywa się pod hasłem „Historie przyszłości”. Dopuszczymy zatem do głosu superwizje: terror dystopii, idealizm utopii i całe piękno niespełnionych marzeń, jakie niosą ze sobą retrowizje. „Bylibyśmy niewdzięczni, nie zostawiając przeszłości tym, którzy nią żyją” – pisał Andrzej Sosnowski. Patrzymy w przód i nieco w górę, jak kandydaci na plakatach wyborczych.

Fantazjowanie – a tym także jest futurologia – pozwala nam wypróbować pomysły, zaplanować kilka ruchów w przód. Przewidzieć konsekwencje globalnych trendów i działań. Dystopie są – jak opowieści o potworze doktora Frankensteina – ostrzeżeniami. Przed niekontrolowanym rozwojem technologii, nonszalancją biotechnologów, naszymi złymi wyborami i lekkomyślnością. Oprócz wywoływania dreszczu emocji, który sprawia wszystkim przyjemność, mają także przypominać o odpowiedzialności: nie tylko naukowcom, ale także nam – wyborcom, uczestnikom życia publicznego, konsumentom. Czarne wizje, które dają upust lękom, mają jednocześnie funkcje edukacyjne.

Utopie z kolei są marzeniami: nieskończenie pojemne, stanowią sferę absolutnej wolności. Umożliwiają zbudowanie świata na naszych własnych zasadach, nieważne, czy będzie to świat bez pieniędzy, anarchistyczny raj, czy Walden – ekologiczna arkadia. Oto można zmienić tryb myślenia na „bez ograniczeń” i przeciągnąć spetryfikowany umysł przez surrealne wizje. Gimnastyka jest przecież relaksująca. Czas weryfikuje i utopie, i dystopie. Ludzkość uparcie istnieje. Nie jest ani odrobinę wspanialsza, za to równie obecna i żywa.

A jednak skompromitowane wizje przyszłości nie są bezwartościowe, odwrotnie: część z nich uzyskała status kanonicznych dzieł literackich lub klasyki kina. Inne, rzadziej czytane czy oglądane, są jednak wznawiane, omawiane w esejach literaturo- i filmoznawczych. Mają w sobie urok chybionej przepowiedni, wzbudzają nasz uśmiech i nostalgię. Ale przede wszystkim często stanowią wyraz twórczej, przelamującej stereotypy, inteligencji. Retrowizje mówią o nas najwięcej: o naszych marzeniach i lękach – jak religie.

Po śniadaniu idziemy na groby dzieci i wnuków. Przed wyjściem Edyta podgrzewa mi fasolę z puszki, skraja trzy plastry sera i podsusza herbatę bez cukru. Mówi, że powinienem ją pić, że jest dobra dla mnie. Zawsze odpowiadam to samo: „Przydałby się chleb, Edytko, nawet taki kiepski z Buczka, z ziarnami słonecznika wchodzącymi między zęby”. Edytka śmieje się, jak to ona: „A gdzie twoje zęby, stary capie?”.



H. Kielan
I'm in so deep

Na Saskiej Kępie kwitną dzikie róże. Prócz tego z bujnej trawy strzelają młode drzewka, bluszcz wspina się na ścianę naszego bloku, a w potłuczonych oknach dawnych restauracji rozpychają się krzaki. Najbardziej jednak widzę te róże, ciężkie czerwone pąki, spomiędzy których wykwitają czerwone płatki. Jest ich więcej niż w tym roku i wiem, że w następnym będzie ich jeszcze więcej. Dzięki temu nie myślę zbyt wiele o świecie sprzed Poświęty. Przyszłość beze mnie, lecz pełna róż, nie może być taka zła.

Idziemy w stronę Parku Skaryszewskiego ulicą. Pytam Edytę, czy na pewno zabrała szczotkę, a ona wzdycha i grzebie w torbie, żeby mi ją pokazać. Tak, to dobra szczotka. A świece, czy wzięłaś jakąś świeczkę, moja kochana? Edyta mówi, że nie możemy codziennie zapalać światełka. Świeczek nie tak znów wiele, potrzebne są żywym, a nie umarłym. Korzenie drzew rozrywają asfalt, w trawie sterczącej z popękanych płyt chodnikowych leży cocker-spaniel rozerwany przez lisy bądź kuny, i tak docieramy do skrzyżowania z obaloną tramwajem. Edytka moja, powiedz, proszę, naprawdę sądzisz, że my wciąż żyjemy?

Park Skaryszewski zmienił się w las pełen chaszczki, w których wydeptaliśmy ścieżki. Kiedyś przychodziłem tutaj z Karolą i Kamilem, żeby pograli w kometkę. Kamil później przyprawdzał Alana i Andżelę z podobnych powodów, a teraz leżą wszyscy razem w grobach bez attyk. Tłoczą się ze sobą te groby i coraz trudniej zapamiętać, kto gdzie jest. Kiedyś przerwy między nimi przepadną, wiatr naniesie nową ziemię i stanie tutaj kopiec. Pierwszy człowiek zasnął pod kurhanem. Z ostatnimi będzie podobnie. Niemal ostatnimi, bo nas nikt nie pochowa.

Edyta omiata szczotką ziemiste kopce, a ja poprawiam krzyże, które znów się przekrzywiły. Nie wiem, dlaczego te całe krzyże nie mogą prosto stać. Może dlatego, że przynależały gdzie indziej? Ten u Kamila wisiał u nas w domu, a te dwa, u aniołeczków, zabrałem z kościoła. Po co komu teraz kościół? No ale krzyż może mieć inne zdanie na ten temat. Edytka uśmiecha się do mnie łobuzersko, wyciąga ogryzek świeczki i rozpala, chroniąc płomień w dłoniach.

Kiedyś znałem człowieka, który stracił dziecko. Przez kilka miesięcy zachowywał się zupełnie normalnie, a potem zaczął łązić po ludziach i opowiadał o przedszkolu, do którego jego córka chodzi w niebie. Uważał, że potem będzie niebiańska podstawówka, studia, normalne życie tam w zaświatach. Unikał placów zabaw i szkół, nie odwiedzał ludzi, którzy mieli małe dzieci. Mówił, że takie doświadczenie jest dla niego za trudne. To normalne, że umierają rodzice, starsze rodzeństwo, przyjaciele. Ale śmierć dziecka nie powinna się zdarzyć.

Nasze dzieci, nasze wnuki, a także dzieci, wnuki i prawnuki wszystkich wokóło zmarły niemal jednocześnie. Dlatego pochowaliśmy je tutaj, na cmentarzach zabrakło miejsc, bo nikt nie przypuszczał, że lwią część ludzkości umrze w rozbłysku Poświęty. Tu zresztą mam bliżej, mogę przychodzić i dwa razy dziennie. Nie jestem sam, otoczony przez starców, którzy doświadczyli takiej samej straty. Gdy wszyscy wokóło cierpią z tego samego powodu, jest jakby lżej. Widząc ból innych, łatwiej znieść własny.

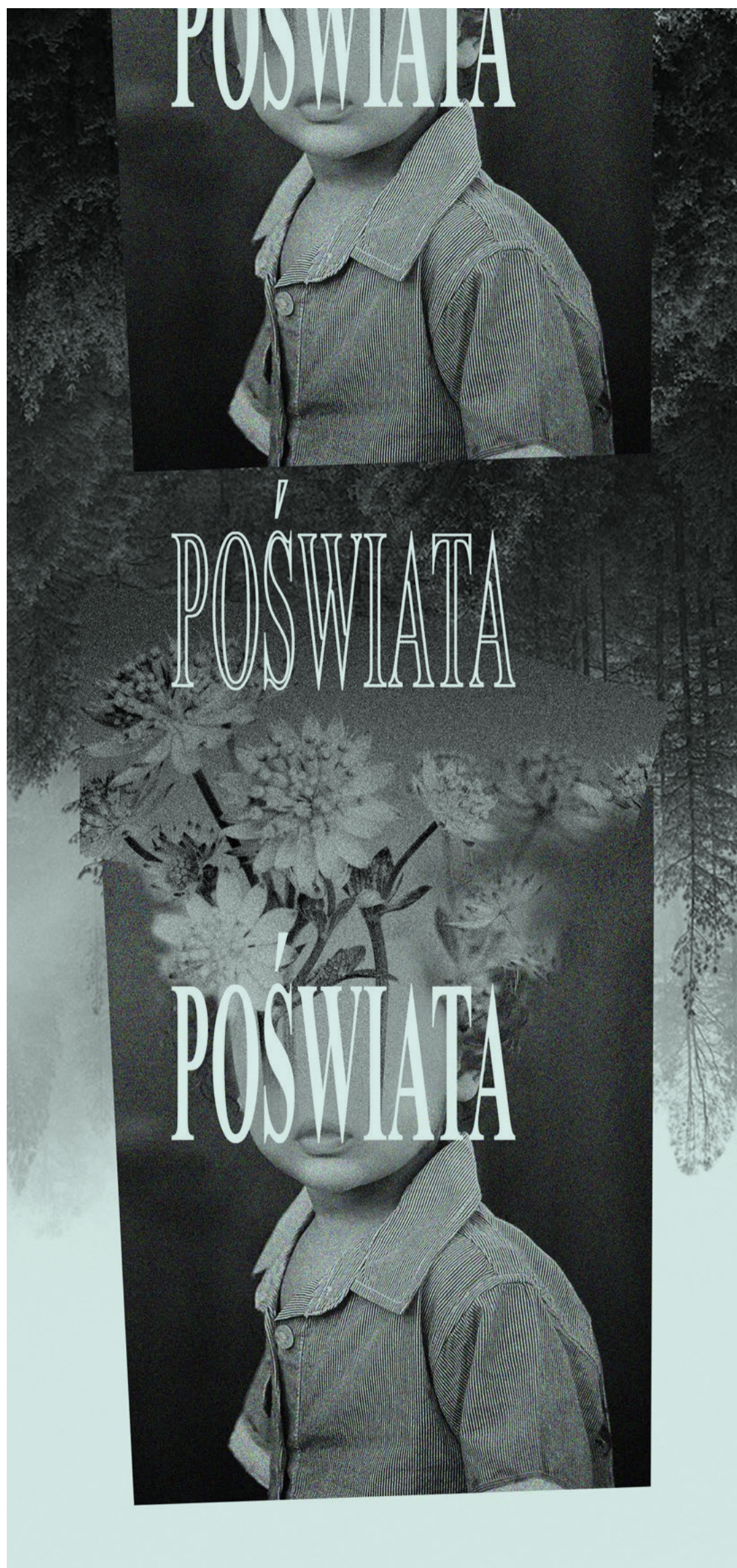
Skoro już o tym, zjawia się Waldek Niszczyciel, woła i macha w naszym kierunku. Chce, żebyśmy z nim poszli. Przed Poświętą zajmował się handlem dżinsami na bazarze Różyckiego, teraz ma chyba osiemdziesiątkę i jest silny jak tur. Jeździ polonezem truckiem i chce, żebyśmy do niego wsiedli. Nie bardzo mam na to ochotę, lecz Edyta nalega. Jej zdaniem przyda się nam odrobina rozrywki, choć Waldek jest ewidentnie strzelony. Edyta lubi przyglądać się jego muskularnym przedramionom, a on lubi podwijać rękawy, gdy tylko moja żona pojawia się w pobliżu. Ale jest bardzo miły i nigdy nie zrobił nam krzywdy. Ściskam mu rękę, idziemy do poloneza.

Waldek podzielił dzielnice na kwadraty, kwadraty na kwadraciki i oczyszcza je po kolei, od pierwszych dni od Poświęty. W ten sposób docieramy aż na Białolekę, na jedno z tych osiedli, które pobudowano na początku naszego wieku. Wygląda tutaj jak w Czarnobylu, czarne czteropiętrowce mają koronę z drzew. Waldek wchodzi na klatkę schodową, stuka w pierwsze drzwi i liczy do dziesięciu. Gdy otwiera je kopniakiem, targa mną idiotyczny strach, że na przywitanie wyskoczą nam niedźwiedź.

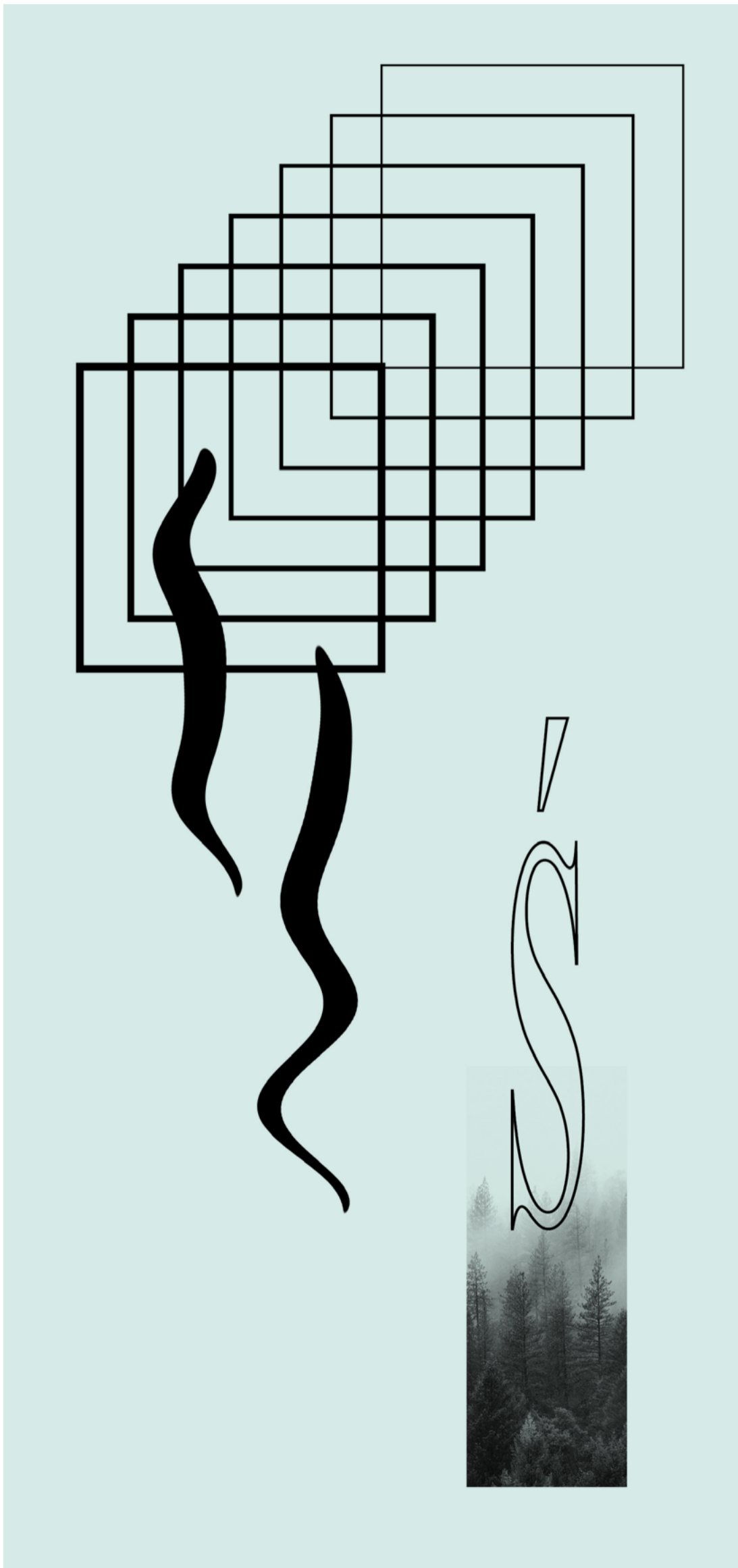
Pomagamy przy przeszukaniu. Zawsze to jakieś zajęcie. Waldek tłumaczy co i jak, ale przecież nie jestem głupi i wiem, co robić. Sprawdzam stoliki przy łóżkach, szuflady w biurkach i komodzie, sprawdzam też parapety i pudło pełne kabli pod oknem, na wypadek gdyby ktoś schował tam jakiś zapasowy aparat. Tak piętro za piętro. Z jednego mieszkania wypłaszam stado czarnych ptaków, w innym drapie mnie kot. Na samym szczycie znajduję szkielet kobiety, usadowiony na krześle, przed biurkiem, na którym leżą świecidełka do ręcznie robionej biżuterii. Między nimi znajduję tabletki, od dawna wyładowany, lecz wciąż boję się go dotknąć. Dopiero Waldek chwyta tego diabła w dwa palce rękawiczki i ciska do worka, tam gdzie reszta.

Gdy rozpalamy ognisko, słońce wciąż stoi wysoko na bezchmurnym niebie, a ja orientuję się, że nie mam pojęcia, jaki jest miesiąc. Waldek układa smartfony, tablety i laptopy w stos, oblewa rozpuszczalnikiem i podpala. Potem kuca, krzyżując dłonie nad kolanami, taki ptasi, nieodgadniony. Nawet nie wiem, kogo utracił, cieszę oko samym płomieniem i nagle w mojej głowie pojawia się dziwne skojarzenie. Wielokrotnie namawiałem Alana i Andżelę na ognisko. Woleli jednak gapić się w telefony.

Edyta prosi Waldka, żeby do nas zajrzał. Zmęczyłem się i nie mam na to ochoty, ale rozumiem, że taka rozrywka jest lepsza niż żadna, zresztą Waldek nie robi nam krzywdy. Siadamy przy stole, Edyta odgrzewa fasolę, kroi ananasa z puszki, a Waldek ogłasza się depozytariuszem wspaniałej niespodzianki. Nie trzeba Sokratesa, by wiedzieć, co to takiego. Nasz przyjaciel nie tylko oczyszcza Warszawę z elektroniki. Zdarza mu się również zaglądać do barków w wymarłych mieszkaniach.



M. Wędzicka
I'm in so deep



Wódka jest cierpka i ciepła, co nie ma wielkiego znaczenia, bo i tak nie odgoni senności. Żyję podług słońca, gasnę o zmroku i budzę się na godzinę przed świtem. Waldek opowiada historie z dawnych lat, o tym, jak z kolegami kiedyś ukradł tramwaj, jak nielegalnie rozmnożyli świnie w wojsku i trzeba było je zabić na akord, o handlu rumuńską wódką w kartonach w latach dziewięćdziesiątych. Edyta bez przerwy się śmieje, tężeje ciemność, której nie odpędzi świeczka. Uświadamiam sobie, że już niedługo to mieszkanie będzie dokładnie takie jak te, które dzisiaj widzieliśmy, i też będą tam kości.

Pochylone głowy tych dwojga są widoczne jak przez okno do innego świata – nie umiem nawet czuć zazdrości, zresztą przecież wszyscy jesteśmy starzy. W północy dobiega mnie uderzenie, jakby coś ciężkiego zleciało z naszej kanapy. Patrzę w tamtym kierunku i niemal widzę Andżelikę, jak siedzi z nogami w powietrzu i klika w ekran telefonu taty. Sam nigdy nie miałem takiego, Edytka też nie, nawet Waldek. Nie wiedziałem, o co w tym wszystkim chodzi, ale Andżelika wciąż chciała mi coś pokazać. Tak, widzę ją, jak woła: „Zobacz, dziadku, zobacz, następny poziom”, a potem ekran załśnił zimnym błękitem, załśnił tylko na moment, a ona upadła. Minęła chwila, nim zrozumiałem, co się stało, i zacząłem krzyczeć. Nie byłem w tym sam. Krzyczano za ścianą, w innych blokach i na ulicy, krzyczano na Pradze, po drugiej stronie Wisły i Atlantyku, a ci, którzy próbowali dzwonić po pomoc, sami padali martwi i przestawali krzyczeć.

Wstaję. Żegnam się z Waldkiem i proszę żonę, żeby odprowadziła mnie do łóżka.

Pomaga mi się położyć. Trzymam ją za rękę, a ona mówi, że wróci posiedzieć trochę z Waldkiem. Dobrze, niech siedzi, odpowiadam, tylko niezbyt długo. Niech on wyjdzie jakoś wcześniej, bardzo ją o to proszę, choć wiem, że ona jeszcze bardziej chciałaby z nim posiedzieć. Nie mogę jej niczego zabronić, nie w tym okropnym świecie. A Edyta kładzie mi rękę na czoło i zapewnia, że mogę być spokojny. Przecież rano musimy wstać, musimy pójść na groby.

Paweł Soszyński

2026. Teatr i co z tego

***2026 rok niczym nas
w teatrze nie zaskoczył.
Wciąż nie udało się
odtworzyć w Polsce
środowiska teatralnego,
które przypominałoby
choć trochę nawet
nieudolne środowisko
sprzed dziesięciu lat.***

Tekst ukazał się
w zinie teatralnym
„Didaskalia”,
druk ksero,
50 sztuk

Od 2018 roku wisi nad nami atmosfera głębokiego rozczarowania. Protest środowiska po decyzji o finansowej centralizacji teatrów i przekazaniu ich pod bezpośrednie zwierzchnictwo nie samorządów, ale Ministerstwa Tradycji Narodowej (zmiana nazwy z 2019 roku) skończył się, jak wiadomo, całkowitym fiaskiem i zapoczątkował exodus reżyserów, choreografów i artystów teatru poza granice Polski. Sytuacja w polskiej kulturze zdecydowanie nie sprzyja ich powrotowi do kraju. Zresztą po co miałby wracać tu Krzysztof Warlikowski, który, kierując od pięciu lat paryskim Odeonem, podniósł tę scenę z upadku, nawet jeśli przez dyktujący obecnie trendy teatr bałkański uważany jest za własnego epigona (koledzy, oby w Polsce sami tacy epigoni byli!)? Po co z Litwy miałby wrócić do Polski wciąż zaskakujący Europę Krystian Lupa – obecnie uważany za reformatora i ojca litewskiego teatru artystycznego? Nikt już niestety nie pamięta, że byli to kiedyś polscy twórcy, do czego łapę przyłożył politycznie zaorany i *de facto* zmarginalizowany Instytut Adama Mickiewicza oraz jego groteskowe satelity na całym świecie. „Przecież to nigdy nie byli polscy reżyserzy” – te słowa Rafała Ziemkiewicza z 2018 roku okazały się prorocze. „Litewski reżyser Lupa kończy 80 lat” – takie powinszowania mogliśmy dwa lata temu przeczytać nie tylko w prasie francuskiej czy amerykańskiej, ale również, o zgrozo, na polskich portalach.

Na demontażu polskiego teatru, rozpoczętym w 2016 roku w Teatrze Polskim we Wrocławiu, skorzystały

teatr Mladinsko w Lublanie i całe Bałkany. Po teatralnej katastrofie z 2018 roku Goran Injac, który wcześniej został wyrzucony przez Jana Klatę ze Starego Teatru w Krakowie (obecnie Narodowy Teatr Jana Pawła II), ściągnął do Słowenii między innymi Michała Borczucha, Krzysztofa Garbaczewskiego i Weronikę Szczawińską. Dzięki temu słoweńska scena stała się jednym z najgorętszych teatralnie miejsc nie tylko w Europie. Borczuch odbierze w tym roku Europejską Nagrodę Teatralną, jako pierwszy „polski” reżyser po Lupie, za doskonałe realizacje w Chorwacji, gdzie od trzech lat jest etatowym reżyserem. Ezowirtualny teatr Garbaczewskiego przyczynił się do rozkwitu teatru w Tajlandii, gdzie reżyser zapraszany jest kilka razy do roku i gdzie jako pierwsza osoba nie pochodząca z rodu królewskiego otrzymał Order Domowy Chakri – za wybitne zasługi dla kultury Królestwa Tajlandii. Doskonale w Brazylii radzi sobie Maja Kleczewska, założycielka Studia Eksperymentalnego w São Paulo, które w Ameryce Południowej działa jak magnes, przyciągając studentów, zawodowych aktorów i tancerzy oraz artystów wizualnych z całego kontynentu. Dobrze z „dobrą zmianą” poradziła sobie również Ewelina Marciniak, obecnie wzięta reżyserka medialnych spektakli w USA (skandalizująca ceremonia wręczenia Oscarów z zeszłego roku). Bez pracy pozostaje niestety wielu utalentowanych twórców: Radek Rychcik, Anna Smolar, Wiktor Rubin, Magda Szpecht, Łukasz Twarkowski – by wymienić najciekawszych z nich.

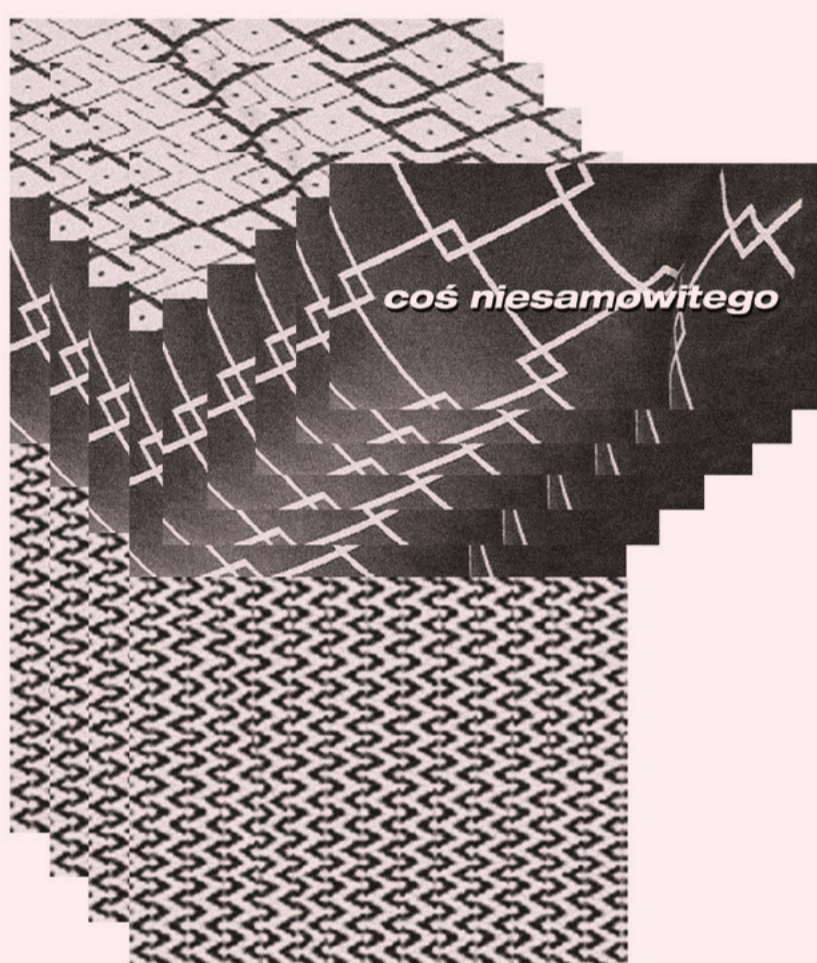
Polski taniec to kolejna ofiara ostatniej dekady – z braku grantów i ogólnej niechęci ministerstwa do prowokacyjnej apolityczności tego nurtu większość choreografów powróciła do Wiednia i Amsterdamu. W 2019 roku Mateusz Szymanówka utworzył Centrum Imigracyjne Tańca Polskiego w Berlinie. To tam Martha Kem (właśc. Marta Ziółek), już po zmianie obywatelstwa, spektaklem *Zrobili nas* z 2020 roku potwierdziła swój status jednej z najważniejszych niemieckich choreografek. W Europie o prym pierwszeństwa walczy z nią Cezary Tomaszewski, przez wielu uważany za następcę i rewizjonistę teatru spod znaku Jérôme’a Bela. Podobnego szczęścia nie mieli Iza Szostak i Paweł Sakowicz. „Przynajmniej przydał im się na coś kurs obsługi koparek” – ironizował cztery lata temu Jacek Zembruski, obecnie dyrektor Instytutu Archiwów Teatralnych (były Instytut Teatralny).

Na polskich scenach zaliczyliśmy tymczasem chyba najgorszy sezon od co najmniej siedmiu lat. Dotacje, o których mogli marzyć dyrektorzy sprzed dekady, trwonione są na rocznicowe produkcyjniaki, nawet jeśli – na szczęście – przeszła już moda na spektakle smoleńskie, a postać Jana Pawła II została dramaturgicznie do cna wyjąłowiona. Wciąż w cenie są jednak potocznie nazywane „pisówkami” wszelkiej maści kabarety i wieczory skeczów. Po śmierci Jana Pietrzaka w 2023 roku jego nieśmiertelny, jak się okazuje, dowcip bawi w większości prowincjonalnych teatrów, głównie za sprawą specjalnych edycji *Humoru zebranego* (wydawnictwo IAT). Skompromitowane i bezsilne środowisko przyjmuje to do wiadomości z podobną pokorą, z jaką zaakceptowało powołanie Pietrzaka w 2019 roku na dyrektora Teatru

Powszechnego w Warszawie. Nikt już się nawet nie buntował. Podobnie rok później, gdy Opera Narodowa stała się nową siedzibą zespołu Mazowsze.

Najwyraźniej mija też moda na sceniczne adaptacje seriali telewizyjnych. Pomysł Cezarego Morawskiego, który po odejściu aktorów z Teatru Polskiego we Wrocławiu zatrudnił na swojej scenie kolegów z *Barw szczęścia* i *M jak miłość*, cieszył się początkowo ogromną popularnością. Zaskoczyło to samego Morawskiego, który stworzył ten teatralny format z przymusu – aktorzy nie mieli czasu uczyć się nowych tekstów, postanowili więc odgrywać równoległe do telewizyjnej emisji kolejne odcinki popularnych oper mydlanych na deskach teatru. Ten pomysł szybko przyjął się też na warszawskich scenach. Obecnie jednak tendencja słabnie. A skoro przy serialach jesteśmy, nie można zapomnieć o dziesiątym sezonie *Artystów* Moniki Strzępki; serial po przeniesieniu do stacji komercyjnej, a szczególnie po odejściu z ekipy Pawła Demirskiego, cieszy się coraz mniejszą popularnością. W przeciwieństwie do neobarokowej poezji Demirskiego, który po porzuceniu teatru i filmu dzieli się z czytelnikiem i lękami kunsztowną, mroczną strofą i rymem.

Tymczasem mamy grudzień, rok 2026 nieubłaganie, posępnie zmierzając do finału, który, jak zwykle, będzie hucznie świętowany „pisówkami” na każdej w gruncie rzeczy scenie w kraju. Opinię publiczną elektryzuje oczywiście najmocniej widowisko muzyczno-taneczne na Stadionie Kaczyńskich w Warszawie. W wydarzenie, jak co roku, zaangażowane zostały obligatoryjnie „największe” polskie sceny, użyczające fecie na cześć rządu swoich artystycznych zasobów. Oby nadchodzący 2027 rok był moim ostatnim.



M. Wędzicka
Something amazing

***A kto powiedział, że
będzie normalnie?
Kto powiedział,
że zawsze będzie tak,
jak miało być?
Tak, jak było i do czego
się przyzwyczailiśmy?***

Że świat ma pamięć materiału i zawsze, wcześniej czy później, wraca do stanu, który uznajemy za normalność? O nie. Obudziłem się i wszystko rozumiałem, i wszystko wiedziałem. No, prawie wszystko. Znałem na przykład przeszłość. Tylko nie wiedziałem czyją. To znaczy – szybko się domyśliłem. Bo gdy tylko się obudziłem, to zaraz coś zaczęło piszczeć, jakaś czerwona żaróweczka migać, a do białego pokoju, w którym leżałem (tak, spokojnie, doskonale wiedziałem, że to sala szpitalna), zajrzała jakaś zaafierowana myszowata twarz.

– Kli! – zakrzyknęła twarz (męska), a ja wiedziałem dobrze, że to nie żaden obcy mi język (wiedziałem też od razu, że powinienem zwracać się do samego siebie w rodzaju męskim), tylko facet najwyraźniej nie wiedział, co rzecz, i wyrwało mu się to „kli” zamiast „ojej”. Wiedziałem też, co to jest „ojej” i że bardziej familiarne określenie mężczyzny to właśnie „facet”. Znałem też człowieka, który wszedł do mojego pokoju w chwili, gdy „kli” pielęgniarza wisiało jeszcze w powietrzu (wiedziałem, co to pielęgniarz, słowem – wszystko wiedziałem). Wiedziałem, że człowiek, który wszedł, nazywa się profesor Procesor i że to prawdziwe nazwisko, i że to nazwisko wymyślił sobie sam, i że, co więcej, urzędowo je sobie na tego Procesora zmienił. Jest bowiem transhumanistą. Wiedziałem, co to transhumanizm. Tak, tak. Wszystko to wiedziałem. Również to, że byłem pierwszym człowiekiem, któremu zeskanowano dane z mózgu, przeniesiono na inny nośnik i zainstalowano w zupełnie nowym ciele. To znaczy – hm, byłem: tu się pojawiał problem.

M. Wędzicka
Koniec = the end



– Adamie! – powiedział Procesor, a ja przypomniałem sobie, że dobrze jest nazywać go Prockiem: udaje, że trochę tego nie lubi, ale traktuje jak czochranie za uchem. Wiedziałem, dobrze wiedziałem, że ten Adam to ja, ale za skarby świata nie byłem w stanie przypisać tego „Adama” do tego, czym byłem. W ogóle to, czym byłem, było bardzo... świeże. Nieustalone, nieokreślone. Bolało trochę. Chciało się temu czemuś krzyczeć, trochę bez powodu, a trochę z powodu wszystkich powodów na świecie. Nie było to jednak w każdym razie tym, czym miało być. Nie było „Adamem”. Nie byłem „Adamem”. Myślenie o „Adamie” w kategoriach „ja” było tak obrzydliwe, jakbym wyobrażał sobie, że gwałci mnie ktoś, kogo może i dobrze znam, ale kto jest mi doskonale obcy i obojętny.

– Adamie! – powtórzył tymczasem z lekkim przestraszonym ten cały Procek, którego też doskonale znałem, ale nie miałem do niego żadnego emocjonalnego stosunku, choć wiedziałem, że Adam miał. Wiedziałem to, a nie pamiętałem. „Adam uważał cię za debila bez kręgosłupa, ale uważał, że jesteś przydatny” – mogłem mu powiedzieć ot tak, jakbym spluwał, i nie byłoby w tym nawet napięcia, które towarzyszy zdradzaniu ludziom sekretów bliskich osób, bo Adam nie był mi bliski. Ale wiedziałem dzięki niemu, że ludziom przy zdradzaniu sekretów bliskich osób towarzyszy napięcie. Rzecz w tym, że bliskich osób nie miałem. Najbliższym człowiekiem, choćby nie był mi wcale bliski, był Adam. Adam, wiedziałem doskonale, bo przecież znałem go lepiej niż samego siebie, miał żonę, dzieci: piegowatą Marię i rudą Annę, rodziców, teściów, a nawet kilku przyjaciół, co w czasach,

w których żył, było całkiem rzadkie. Znałem te osoby, choć nigdy ich na oczy nie widziałem. Moje oczy nie były oczami Adama i zająłbym tego skurwysyna, gdyby spróbował mi je odebrać. Całe szczęście, że Adam mi niczego nie odbierze, bo już nie żyje. Ten kretyn też był transhumanistą i razem z drugim kretynem Prockiem był tak pewny sukcesu eksperymentu, który kazał na sobie przeprowadzić, że aby uniknąć efektu, jak to ujmował, „dwóch własnych jaźni”, polecił zniszczyć swoje poprzednie ciało zaraz po przekopowaniu danych. I że też ja teraz muszę się wozić z danymi takiego idioty w głowie. A drugą najbliższą mi osobą był Procek. Trzecią – facet, który zrobił „kli”. Urodziłem się od razu dorosły. Leżałem, patrzyłem bez słowa na Procka, który wgapił się we mnie z lekkim niepokojem.

– Adamie? – powiedział wreszcie. – Adamie? Czy możesz mówić? Pierdolony Adam, pierdolony Procek. Do sali zaczęli się wpychać ludzie. Kobieta, czarnowłosa, obcięta na pazia, patrząca na mnie wystraszonymi oczami. To była Sara, żona Adama. Uśmiechnąłem się do niej, zanim zdążyłem się nad tym zastanowić. Widocznie jestem grzecznym facetem, nie wiedziałem tego o sobie. Nie chciało mi się wyęźać mózgu, żeby się zastanowić, czy Adam na moim miejscu też by się uśmiechnął. Za Sarą cisnęły się piegowata Maria i ruda Anna. Rodzice, teściowie, a nawet kilku przyjaciół. Kurwa pierdolona w dupę zajebana mać. Chciało mi się ryczeć i wyć. Nie do końca wiedziałem dlaczego. Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa. Może z czasem tego „Adama” polubię.

– Cześć, Procku! – powiedziałem tonem, który bardziej mi się wyrwał, niż sam go wybrałem. Sam bym go nie wybrał. Ale kiedyś będę wybierał ton, który mi bardziej odpowiada. Dzięki psychice regulowanej przez moje nowe ciało. Przez jego gruczoły, jego enzymy, jego wydolność i możliwości. Jebać Adama. Zaraz potem nie wytrzymałem i puściłem po sali taką wiązaną bluzgów, o jaką Adama nie podejrzewałem. Siebie też nie, ale nie miałem zielonego pojęcia, o co też mógłbym sobie podejrzewać.

Pytanie, jaka będzie literatura polska za dziesięć lat, musi zostać poprzedzone bardziej fundamentalnym pytaniem, gdzie ona będzie. W tej chwili przebywa w trzech miejscach o różnym stopniu widzialności.

Literatura najlepiej obecna funkcjonuje w przestrzeni rynkowo-medialnej, będącej częścią show-biznesu, ta słabiej obecna przebywa w środowiskowych „rezerwatach”, wydzielonych, specjalistycznych niszach. Istnieje wreszcie literatura – i tej jest najwięcej – która przebywa w komunikacyjnej próżni, czyli poza komentarzem, bez świadectw recepcji, a więc śladów oddziaływania. O widmach nie będziemy tu jednak rozmawiali; pozostaniemy przy dwu przestrzeniach.

Zwykło się sądzić, że zasadniczą linię podziału wyznacza rodzaj literacki. Owszem, poezja – ale tylko ta najlepsza, uchodząca za szczególnie wartościową, a nawet wybitną – zamieszkała w getcie czy raczej do getta została odesłana. Nie wiem, czy jej tam dobrze, ale na pewno ma święty spokój, wszak nikt jej nie sprawdza – a tak naprawdę: nie zawstydzą – takimi parametrami jak nakład, pozycja na liście bestsellerów, wysokość honorarium dla autora, stopa zwrotu zainwestowanego przez wydawcę kapitału. Żaden polski poeta nie cierpi z tego powodu, że nie zapraszają go do telewizji śniadaniowych, nie wręczają mu kluczyków do eleganckiego mercedesa, nie płacą trzech tysięcy złotych za spotkanie autorskie w gminnej bibliotece publicznej. Wiadomo – sprawy poetyckie przynależą do niszowej subkultury literackiej, zachodzą we własnym świecie, gdzie obowiązują wewnętrzne reguły, branżowe hierarchie, specyficzne porządki itd. Bodaj nikt się temu nie dziwi, nie zgłasza pretensji i – co najważniejsze – nie wcina się w tę przestrzeń.

Tymczasem kłopot z prozą polega na tym, że nie chce ona podzielić losu (tu: sposobu funkcjonowania) markowej, podziwianej w „rezerwatach” poezji. Nie ma zgody na marginalizację: albo jestem na głównym parkiecie, albo nie ma mnie wcale. Jeśli tak myśli prozaik, który stawia na masowość i popularność, problemu nie

ma, niechaj próbuje. Ale jeżeli wymóg dobrego istnienia w przestrzeni rynkowo-medialnej jest postrzegany jako powszechna norma, to mamy właśnie kłopot.

Moje proroctwo – w końcu o snucie przepowiedni mnie poproszono – jest więc takie: w ciągu najbliższej dekady aktualne złudzenia bynajmniej się nie rozwieją; przeciwnie – staną się obsesją. Jakie złudzenia? Ano takie, że nieledwie każdy tom prozy, osobliwie powieść, ma szansę wejść w obszar szerokiej widzialności i dobrej obecności, że jest obliczony, by tak rzec, na coś więcej, że może być czymś więcej. Czym? Początkiem kariery w typie celebryckim, zapowiedzią dużych pieniędzy, nadzieją na profesjonalizację aktywności twórczej (żyć z pisania – piękne marzenie!), przepustką do telewizji śniadaniowych, perspektywą współpracy wizerunkowej z firmą Mercedes-Benz Polska – że się w tym miejscu powtórzę. Obawiam się, że cały ten fantazmatyczny kicz nadal będzie dewastował domenę literacką, a zwłaszcza deformował rozmowę o literaturze. Tak jak czyni to dziś, tyle że bardziej.

Kolejne proroctwo brzmi: literatury będzie mniej, gdyż niemal w całości zostanie wyparta przez rynek książki, który literaturą nie jest. Już dziś utowarowiona książka bezczelnie żeruje na autorytecie literatury, ale to dopiero początek. Przeczuję, że masowa produkcja tekstów umieszczanych między okładkami przekroczy wszelkie znane nam aktualnie miary, ale – powtórzmy – z literaturą niewiele będzie miało to wspólnego, na pewno jeszcze mniej niż obecnie. Aktywność tekstotwórcza (nie mylić z praktykami pisarsko-artystycznymi) najpewniej się nasili z trzech powodów.

Po pierwsze, stopniowo, acz wyraźnie zatykają się bardziej atrakcyjne ścieżki kariery; za kilka lat z pewnością będą mniej drożne niż w ostatnich sezonach. Znikają tedy skuteczniejsze, bardziej pociągające metody

zabiegania o uznanie czy – szerzej – sposoby „wymyślenia/stwarzania siebie”. Prekaryzacja pracy czy ogólne „uśmiecowanie” ludzkiej kondycji, i to w każdym wymiarze, będzie się tylko poszerzało, a pole gry o prestiż i znaczenie – zawężało. Pisanie książek (nie mylić z tworzeniem literatury) wydaje się najprostszą odpowiedzią na te przykre deficyty i obezwładniające blokady. Najprostszą w tym rozumieniu, że najtańszą (w sensie ścisłym), dostępną dla wszystkich użytkowników języka polskiego. Zapór ekonomicznych i progów kompetencyjnych w zasadzie tu nie ma, a jeśli nawet jakieś są, to za dziesięć lat na pewno ich nie będzie; zwłaszcza tych drugich, wszak przeświadczenie, że każdy – bez względu na umiejętności warsztatowe czy kwalifikacje intelektualne – pisać i publikować może, już dziś stało się powszechnym, dobrze ugruntowanym społecznie przekonaniem.

Drugi powód jest już stricte ekonomiczny – propagowanie czytelnictwa, wspieranie zainteresowania sprawami książki to najtańsza forma inwestowania w kulturę. Wystarczy porównać budżety festiwali literackich, już teraz mnożących się na potęgę (a to dopiero początek!), z budżetami imprez muzycznych, filmowych czy teatralnych, oczywiście organizowanych w podobnej skali (liczba gości, zdarzeń festiwalowych, działań towarzyszących itd.). Na podobnej zasadzie funkcjonuje rozwijający się z każdym rokiem rynek nagród literackich – to również najtańszy sposób realizacji celów i ambicji kulturotwórczych (głównie dużych miast i prężnych środowisk). Warto dygresyjnie wtrącić, że te akurat instytucje czy może raczej instrumenty życia literackiego, czyli festiwale i nagrody, ciekawie się w ostatnich latach przeobraziły. Zostały bowiem oparte na logice eventu, konstruuje się je na podobieństwo medialnego spektaklu; są nastawione na spektakularność i wytwarzanie pozoru (że literatura jest dla nas ważna i wszyscyśmy do niej przywiązani), a nade wszystko stały się podstawowymi formami nadawania prestiżu (pisarz spoza obiegu festiwalowego to żaden pisarz, autor bez nagród to żaden autor).

Wreszcie, po trzecie, przemysł wydawców dysponuje – jak się zdaje – dużymi rezerwami sił i środków. Jak na razie branża nie podejmuje śmielszych działań, zastanawiając się mizerną rentownością biznesu książkowego, co akurat odpowiada prawdzie. Owa niechęć do ryzyka, czyli zwiększania budżetów promocyjnych, skąpiecie środków na reklamę i łapówki dla liderów opinii to stan przejściowy... Mobilizowanie blogerek książkowych poprzez nadawanie im honoru „ambasaderek książki” to strategia cokolwiek minimalistyczna i asekurancka. To się powinno zmienić i raczej na pewno do tej zmiany dojdzie. Mówiąc wprost i zarazem brutalnie: większa kasa wpompowana w biznes książkowy spowoduje ożywienie; mam na myśli przede wszystkim nakłady na wycelebrowanie autorów i autorek, a więc najskuteczniejszą metodę maksymalizacji zysku. Tu także dygresyjnie wtrącę, że inwestycje w celebryctwo nie będą jednostronne – istotne zobowiązania ciążyć będą także na autorach i autorkach. Z dostarczycielkami tekstów o urodzie mniej atrakcyjnej niż powierzchowność wczesnej Dody nikt z wydawców nie będzie nawet gadał (w wariacie męskim: łysi z nadwagą zostaną odprawieni z kwitkiem).

I jeszcze ze dwie, trzy przepowiednie. Pierwsza z nich na granicy pewności. Otóż od dłuższego już czasu polska proza (poezji to nie dotyczy) jest spychana na margines przez prozę z importu. Prosta sprawa – nasz rynek książki beletrystycznej jest częścią rynku globalnego, a zatem w pierwszej kolejności czytamy to, co czyta cały świat. Ale ponieważ nieszczęścia chodzą parami, dołącza się do tego jeszcze jeden czynnik: postępująca ślepotą czy raczej głuchota na słowo. Skoro zdecydowana większość czytelników sądzi, że język literacki jest neutralnym, „przezroczystym” medium, to może rzeczywiście nie ma znaczenia, czy rzecz została napisana po polsku, czy polszczyźnie przyswojona. Proroctwo takie, że coraz trudniej będzie naszym autorom konkurować o względy czytelników, i to nie tylko w obszarze literackiej rozrywki (wiadomo: Stephena Kinga nikt nie przyćmi). Będą przegrywać nawet z norwesкими banalistami w typie Knausgård, co jednak dość obciachowe (dla prozy polskiej) jest czy raczej będzie.

Ponadto nie spodziewam się, żeby w najbliższym czasie proza non-fiction utraciła swoją uprzywilejowaną pozycję. Wręcz przeciwnie – im bardziej nasz kontakt z rzeczywistością będzie opierał się na zapośredniczeniu (a już teraz uwikłanie w media, w wirtualny pozór/ściemę wydaje się nie do zniesienia), tym większą uwagę darzyć będziemy książki reportażowe czy podróżnicze, dające nam słodkie złudzenie, że reporter bądź podróżnik ma w ową rzeczywistość bezpośredni wgląd, że może nam ją podać w skali jeden do jednego. Słowem, nie widzę końca kariery rzekomego autentyku. Jak wiadomo, kariera ta rzutuje na kształt prozy fikcjonalnej oraz metodykę jej czytania; w tym oczywistym rozumieniu, że uprzywilejowuje wypowiedzi autobiograficzne bądź mające znamiona tzw. świadectwa. Czymże jest opowieść, która nie została wydarta życiu? Fraszka tylko! Tu także ma zastosowanie reguła, którą zapowiedział tytuł i którą chciałem uczynić refrenem tych zapisków: będzie tak samo jak dziś, tyle że bardziej.

Niewygodnie ciągnęło się za sobą własną nerkę, wyglądała jak roztrzęsiony ratlererek. Przezroczysta jaskrawa rurka zawijała się denerwująco. Przepływy były w porządku, ale musiałam co chwilę przekładać ją na drugą stronę ciała. Poradziliśmy sobie z kapitalizmem, ISIS, edukacją wczesnoszkolną i upadkiem czytelnictwa, ale moda nadal jest opresyjna. Zadziwiająca, że wciąż jej ulegamy.

Kiedyś urbaneści w Berlinie postanowili wyprowadzić rury kanalizacyjne na zewnątrz i pomalować je na różowo. Ten system – oprócz spalonego miśka – stał się symbolem miasta. Teraz biotechnolodzy wyciągnęli nasze przeszczepione organy na zewnątrz. Czym więcej organów na zewnątrz, tym większy szyk. Fruwają wokół przechodniów jak cyfrowe chmury. Wyglądamy jak postapokaliptyczny gatunek napromieniowanych ośmiornic. Niektórzy noszą na głowach hełmy odcinające od inwazji reklam. Wczoraj widziałam faceta, który prowadził na smyczy psa z żołądkiem na zewnątrz. Żołądek był przezroczysty, a w środku bawiły się dwa nieprzetrawione chomiki – też z jakiejś farmy, bo jeden był niebieski, a drugi czarny, z gałami rozświetlonymi, jakby go ktoś posuwał od tyłu. A propos – próbowaliście uprawiać seks, radząc sobie z tymi rurami? Zaczynam się zastanawiać nad związkami państwowych korporacji zajmujących się kontrolowaniem narodzin z domami mody. Jest wieczór, nad miastem napieprza reklamowa zorza. Zresztą reklamy wyświetlają nam także w snach. Szukam oprogramowania, które wykasuje ze mnie wirusa. Bo na przykład śni mi się, że siedzimy z Margo nad rzeką, trzymamy się za ręce. Nasze dzieci bawią się w szałasach i krzyczą: „Dajcie nam jeść! Boimy się!”. Zza szałasu wyskakują dwóch faszystów i wrzeszczy: „Kurwa mać! Lesby! Wypierdalać! Jeszcze Polska nie zginęła!”. I nagle wjeżdża ta reklama Coca-Coli. Wyświetla się na dnie rzeki, a potem na horyzoncie, jak potężny spam. Niebo robi się czerwone, w tle słychać jakąś melodyjkę. Myślałam, że padnę trupem, ja pierdole. Mój informatyk, idiota, jest na odwyku. Idąc przez miasto, szukam odpowiedniej usługi we własnych komputerach pokładowych. Lubię to miasto, które wygląda jak lej, śruba wkręcona w beton. Wybrałam je trzy lata temu, bo jest niebieskie, a ja lubię niebieskie okładki książek. Włosy wiszące w powietrzu to zapyłacze, próbują pobudzić resztki roślin. Przyjemnie jest chodzić nocą między szklarniami. Czasami siadam na brzegu śruby, pod stopami mam tylko ciemność układu, nad sobą spaloną Słońcem Ziemię. Kiedy podjeżdża kawiarka, zamawiam napój i idę na wirtualny spacer. Na Ziemi odwiedzam Warszawę pełną zapachów, różnorodną i rozlaną na dużej przestrzeni jak jezioro. Teatry, w których wystawiano sztuki zmyślnie niedokończone, zerwane. Potem kłócono się o nie, paląc papierosy, stojąc na ulicy jakby nigdy nic. Robię zbliżenie, żeby przyjrzeć się twarzom: lubię polifoniczność ich myśli, wzburzenie i smutek. Czasem siada ze mną SX. Jest niereprodukowalny i wadliwy. Komunikujemy się na poziomie cząsteczek. Odbieram to jako łaskotanie w płucach, jak kiedy wciągasz dym i czujesz uderzenie nikotyny. A potem zbieram się – dosłownie: pieprzone nerki, jelito, żołądek, naelektryzowane włosy, które mają metr i unoszą się pionowo nade mną, zbite i równe jak różowy klocek. Obok stoi poezjomat. Przykładam palec do szyby: pobiera kilka wrażeń i wspomnień. Wypluwa wiersz, jest niedobry. W teatrach grają druidki, rozkręcają się same na scenie, rozkładają wszędzie własne części. Jezu, to ma nam nas opowiedzieć? Dla maszyn jesteśmy nudni, mamy małe możliwości, a słowo dezintegracja opisuje nas najlepiej. Kiedyś człowiek odkładał na noc do szklanki sztuczną szczękę, teraz odkłada własną. Rozbieranie się nabrało innego znaczenia. Wracam do Margo, śpi podłączona. Jeszcze przeżywa, emocje wykrzywają jej twarz. Wygląda pięknie, jak zepsute przedstawienie. Teatr na twarzy Margo.

H. Kielan
Oś Zachodnia



Wszyscy rodzice małych dzieci znają Zwierzogród (po angielsku znamienny tytuł Zootopia), jedną z najnowszych produkcji Disneya. Zwierzogrodu nie można pomylić z żadnym innym miastem. Jest to jedyna w swoim rodzaju współczesna metropolia zamieszkiwana wyłącznie przez zwierzęta. W Zwierzogrodzie nie jest ważne, jakim stworzeniem jesteś - czy największym z lwów, czy może malutką ryjówką. Możesz tam zostać, kimkolwiek chcesz, marzenia się spełniają. I wszystko dobrze się kończy.

Jednak Zwierzogród oglądany oczyma starszego widza to zapewne Nowy Jork (lub inna metropolia, chociaż do Nowego Jorku jest mu zdecydowanie najbliżej). To miasto, w którym musisz zawalczyć o swoje i w którym wszyscy kombinują. To miasto lokalnych społeczności, które przecinają się wprawdzie w miejskim zgiełku, ale jednak żyją osobno. Można zatem spojrzeć na Zwierzogród jak na miasto, które się zna, albo jak na uchronię – znane miejsce, w którym historia potoczyła się inaczej, lepiej.

Uchronia to specyficzna kategoria utopii. Natomiast same utopie to swoiste zbiory szlachetnych intencji. Prezentują się jak katalogi spraw do zrealizowania w imię szeroko pojętego Dobra bądź też jako kwintesencje zbiorowych nadziei artykułowanych przez jednostki i (najczęściej małe) zbiorowości. Utopia to lepsze jutro – lepsze o tyle, o ile prawdziwe okażą się następujące założenia: (1) człowiek jest zasadniczo dobry i rozumny, ale jest też plastyczny i relatywnie łatwo go zmienić; (2) nie istnieje niusuwalna sprzeczność między pomyślnością jednostki a pomyślnością społeczeństwa; (3) przyszłość obejmuje ograniczoną liczbę przewidywalnych możliwości; (4) ludzie nie mogą znudzić się szczęściem; (5) możliwe jest nauczenie sprawiedliwości wybranych do rządzenia ludzi; (6) nie ma sprzeczności między rządami utopijnymi a ludzką wolnością. Utopie pojawiły się w czasie, gdy człowiek renesansu zaczął kwestionować degeneratywne koncepcje dziejów konsekrowane przez chrześcijańską soteriologię i zaczął na nowo marzyć o sprowadzeniu rajy na Ziemię. Symbolem tych wątpliwości stał się Tomasz Morus, który stworzył w XVI wieku paradygmat utopii, a także jej definicję: zatem do greckiego „topia” (miejsce) dodał „u” mogące pochodzić od *eu* lub *ou*. W pierwszym wypadku utopia byłaby eutopia (dobrym miejscem), w drugim – outopia (miejscem, które nie istnieje).

Określenie „uchronia” pojawiło się po raz pierwszy w tytule powieści Charles’a Renouviera z 1857 roku. Pierwszą uchronią był *Napoléon apocryphe* Louisa Geoffroy. Uchroniami nazywano także niektóre powieści Teodora Parnickiego, np. I tom *Nowej baśni*. Uchronie są częściej określane jako „historie alternatywne”, ukazujące jakieś szczęśliwe „kiedyś”, najczęściej dawno, dawno temu. Akcja dzieje się w świecie, w którym historia potoczyła się innym torem niż w rzeczywistości; pod tym względem alternatywna historia odpowiada na pytanie „co by było, gdyby...?”. Popularnym przykładem powieści zaliczanych do historii alternatywnej jest chociażby *Człowiek z Wysokiego Zamku* Philipa K. Dicka. Istnieje też wiele projektów opracowujących alternatywną historię poprzez – nieraz bardzo rozbudowane – paranaukowe zbiory materiałów poglądowych (artykuły, mapy, słowniki). Przykładem jest świat III Bethisad – projekt stale rozbudowywany przez grupę kilkudziesięciu internetowych entuzjastów. Na naszym skromnym polskim poletku mamy także tradycje narodowych fikcji pisanych ku pokrzepieniu serc lub ku przestrodze, które nierzadko służyły interesom politycznym bądź czystej rozrywce. W istocie fantastyczne dzieje Polski można podzielić na dwa główne nurty: katastroficzny, gdzie Polska upada wskutek czynników zewnętrznych i wewnętrznych, oraz kompensacyjny, w którym kreśli się dużo bardziej korzystny obraz kraju niż ten rzeczywisty. Do tradycji tej w przewrotny sposób nawiązuje *Fantastyczny atlas Polski* Pawła Dunina-Wąsowicza, czyli kompendium wiedzy na temat literackich fikcji dotyczących Rzeczypospolitej. Autor prezentuje w nim przegląd imaginations ukazujących, jaka Polska mogłaby być, gdyby okoliczności dziejowe potoczyły się inaczej. To opasy przewodnik po nieistniejących Polskach oparty na około pięciuset książkach i komiksach z ostatnich dwustu lat.

Wydana w ubiegłym roku książka *Eksperyment Utopia* Dylana Evansa, technoentuzjasty i specja od sztucznej inteligencji, który krótkotrwale nawrócił się na prymitywizm, stanowi paradokumentalny zapis jego próby zbudowania wyizolowanej utopii w Szkocji. Próby, dodajmy, zakończonej pobytem samego autora w szpitalu psychiatrycznym w Aberdeen. Evans przeprowadził się do Szkocji, gdzie z grupą chętnych założył i sfinansował częściowo samowystarczalną społeczność. Sam eksperyment miał być sposobem na dowiedzenie się, jak będą żyli ludzie w przyszłości – ci, którzy przetrwają nieuchronną globalną katastrofę. W szybkim czasie osada stała się bardzo popularna wśród tych, którzy chcieli rychło wskakiwać do postapokaliptycznej przyszłości. Poza katastroficznie nastawionymi doomersami w osadzie pojawili się także prepperzy, czyli ludzie, którzy metodycznie i aktywnie każdego dnia przygotowują się do katastrofy, gromadząc jedzenie i inne rzeczy ułatwiające przetrwanie. Te kategorie ludzi

opisuje także dosyć trafnie Karen Thompson Walker w *Wiekach cudów* (*The Age of Miracles*). Samemu Evansowi jego motywy jawiły się pierwotnie jako szlachetne, szybko jednak zorientował się, że pod warstwą zainteresowania poznawczego kryje się coś mrocznego: tocząca go od dawna choroba, eskapizm i potrzeba kontroli nad innymi, traktowanymi jak laboratoryjne szczury lub roboty. Kiedy przyjrzymy się utopii Evansa, zobaczymy w niej specyficzną odmianę uchronii. Potępiana teraźniejszość zostaje tutaj zastąpiona równie ambiwalentnie traktowaną przyszłością – z jednej strony niechcianą, ale z drugiej jednak żarliwie pożądaną.

Ucieczka do przodu w perspektywie technologicznego przyspieszenia może posiadać dwojaki charakter: może stać się ruchem naprzód, a jednocześnie ruchem w tył, w kierunku zamierzchłej przeszłości, tak jak dzieje się to w prymitywistycznej uchronii Dylana Evansa, lub też może być ogromnym susem ku hiperprzyszłości, w której technologia jest swoistym naturalistycznym bogiem. W tym drugim kontekście ostatnio coraz więcej mówi się o transhumanizmie, ruchu ideowym, który postuluje maksymalne wykorzystanie technologii i zdobyczy nauki do wzmocnienia zdolności poznawczych, emocjonalnych i fizycznych człowieka, a także przewyższenia rozmaitych ludzkich ograniczeń. Transhumanizm najczęściej postrzegany jest przez tych, którzy już o nim słyszeli, jako ideologia postulująca użycie nauki i techniki, w szczególności neurotechnologii, biotechnologii i nanotechnologii, do przewyższenia ludzkich ograniczeń i poprawy kondycji ludzkiej. Owo przewyższenie ograniczeń zamknąć można w jednym, fundamentalnym postulatcie: doprowadzenia człowieka najpierw do możliwości radykalnego przedłużania życia, a potem do NIEŚMIERTELNOŚCI. Rzecz jasna, byłaby to nieśmiertelność technologiczna, czyli zapośredniczona. Mogłaby polegać na *uploadowaniu* swojego umysłu do internetowej sieci lub na korzystaniu z egzoskieletów po to, aby długotrwale zabezpieczyć ciało. Dalekosiężnym celem transhumanizmu jest dotarcie do formy transludzkiej, która przekroczy dzisiejszego człowieka i stworzy nowe społeczeństwo.

Mogłoby się wydawać, że transhumanizm da się spokojnie przyporządkować do kategorii nieszkodliwej uchronii, gdyby nie kilka ważnych faktów. Wykładniczy postęp technologiczny dzieje się naprawdę, a jego konsekwencje niewątpliwie radykalnie zmieniają naszą cywilizację. Transhumanizm zyskuje ostatnio zwolenników, zapatrzona jest w niego duża część mieszkańców Doliny Krzemowej, zatrudnionych w progresywnych technologicznie start-upach. Mark Zuckerberg ufundował ogromne nagrody za przełomowe badania w dziedzinie przedłużania ludzkiego życia. Ray Kurzweil, znany futurysta będący dyrektorem programowym agencji badawczej Google’a, nieustannie wspomina o transferze umysłu do sieci. A Elon Musk chce nas wysłać na Marsa, żeby zapewnić ciągłość gatunku w razie wyczerpania się zasobów ziemskich. Jakby tego było mało, do wyścigu w amerykańskich wyborach prezydenckich dołączył egzotyczny, ale za kilka lat pewnie zupełnie oczywisty transhumanistyczny kandydat, Zoltan Istvan. W Europie powstają także kolejne przyczółki przyszłej partii transhumanistycznej, która zaczęła się organizować dopiero od końca ubiegłego roku. Żyjemy w ciekawym, ale i szalenie trudnym momencie: głębokiego cywilizacyjnego kryzysu Zachodu, który w technologii upatruje jednej z nielicznych nadziei na lepszą przyszłość. Jeszcze nigdy utopie, a zwłaszcza uchronie, nie były tak blisko naszej polityki i codzienności.

Z Violą Krajewską, dyrektorką WRO Art Center, rozmawia Marta Masada

MM:

Nasza rozmowa na temat obecnych w sztuce wizji przyszłości przypada na wyjątkowy moment: oto spotykamy się w zupełnie nowej erze w historii Ziemi. Dzień dobry w antropocenie.

Epoki geologiczne liczymy w milionach lat, a naukowcy kłócą się o zaledwie kilkadziesiąt lat w datowaniu antropocenu. Wreszcie w 2016 roku dowiadujemy się, że... antropocen trwa od lat 50. poprzedniego wieku.

A jak bardzo retroaktywne jest pojęcie „nowe media” w kontekście sztuki najnowszej, którą się zajmujesz?

VK:

Witam! Tak, naukowcy pod koniec sierpnia wreszcie doszli do porozumienia, że mamy pierwszą w dziejach Ziemi epokę, podczas której człowiek odcisnął w przekroju planety wyraźny ślad. O jej istnienie i datowanie spierano się od dawna. Przyjęto, że musi to być coś, co widać w warstwach geologicznych, na przykład promieniotwórcze ślady pierwszych prób jądrowych. Inni skłaniali się do tego, żeby datować nowy okres nawet wcześniej, do epoki wynalezienia silnika parowego, kiedy to nastąpiły zmiany wynikające z wydobywania i spalania węgla. Mówi się więc, że Ziemia od mniej więcej tego czasu jest podporządkowana człowiekowi. Czyli odciskamy ślad na Ziemi, a jednocześnie to, co stworzyliśmy, odciska się na nas. I z jednej strony robi się tu przepastna perspektywa geologiczna, którą liczy się w eonach, a z drugiej – nasze życie taktują zegary elektroniczne i nawet mikrosekundy są niesamowicie ważne. Te narzędzia zmieniły człowieka. Jesteśmy już inni. Czas nam bardzo zgęstniał, jednocześnie zmieniliśmy perspektywę, bo po przejściu milenijnego momentu nie myślimy już kategoriami wieków. Jesteśmy w XXI wieku, na który wszyscy czekali, ale nikt nie analizuje, czy on ziszcil pokładane w nim w XX stuleciu oczekiwania, bo już wiemy, że nie. Co więcej, dziś nikt nie mówi o czekaniu na XXII wiek, który miałby zmienić naszą przyszłość. Nie mówi się o tym ani optymistycznie, ani nawet chłodno, bo w ogóle już nie używa się takiej kategorii pojęciowej, jaką posługiwaliśmy się w wieku XX, myśląc o wieku XXI. To nie istnieje.

I to jest bardzo retroaktywne. Wpływa na zmianę oceny uprzednich zjawisk. Odkrywamy przeszłość nowymi narzędziami, które ujmują zjawiska dawne od niezauważonej wcześniej strony, dając im współczesną perspektywę, działającą przeciw w każdym kierunku na osi czasu, zarówno wobec przyszłości, jak i historii.

Najpierw przyszły określenia: intermedia, multimedia, cyberart, sztuka mediów elektronicznych, ale to już określenia historyczne, powoli przechodzące do archeologii mediów, zajmującej się przeszłym instrumentarium obrazowania (np. *laterna magica*). Sami artyści już się tak nie identyfikują. Zakładają, że uprawiają sztukę swojego czasu dostępnymi obecnie narzędziami, które nie są narzędziami tradycyjnymi. Chyba od nagrody na Biennale w Wenecji i Złotego Lwa dla Gary’ego Hilla za wideoinstalację (nagrodzoną w kategorii rzeźby!) zaczęła się reorientacja sztuk wizualnych w kierunku nowych dziedzin, które ewoluowały również w kinematografii. Natomiast nowe media miały po drodze kilka tożsamości. Dziś to pojęcie zanika, bo wszystko jest w sztukach wizualnych nowymi mediami, więc określenie straciło swoją moc dystynktywną, już ich nie odróżniamy. Po cóż wskazywać, że to nowe media, skoro wszystko jest jednym i tym samym rodzajem narracji prowadzonej przy pomocy narzędzi rejestracji i komunikacji, technologii zapisu i informacji, kamer, video artu, animacji, rejestracji performance’u, potem przetworzeń w stronę instalacji – dobrej, bardzo cenionej formy chwytającej rzeczywistość w wielorakich kształtach. Te formy sztuki są niezwykle otwarte na udział widza jako odbiorcy, ale i, co niezwykle istotne, uczestnika, wręcz współautora.

Czy narracja literacka, a konkretnie beletrystyka, którą od stuleci uprawia się tymi samymi narzędziami i która rzadko afiluje z innymi dziedzinami sztuki, nie należy definitywnie do przeszłości? Czy potrafi jeszcze oddać to nasze zmienione „ja” i nowe relacje społeczne? Czyżby powieść należała do archeologii mediów?

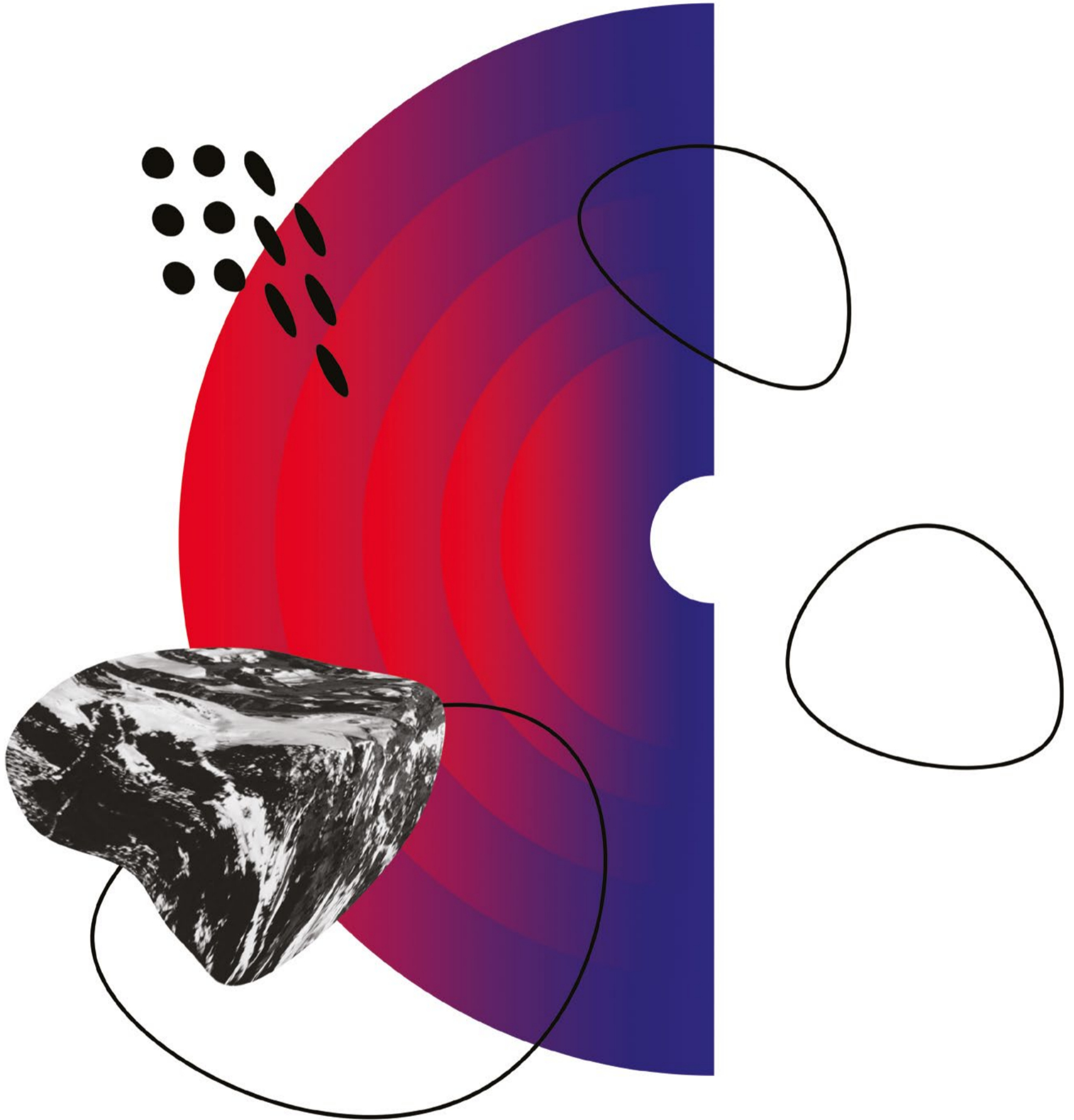
Niewątpliwie nastąpiło dowartościowanie literatury non-fiction. Reportaże, eseje zyskują rangę literacką. Przecież jesteśmy świeżo po pierwszym literackim Noblu za reportaż. Jego laureatka Swietłana Aleksijewicz powiedziała, że czasy się zmieniły i literatura nie nadąża już za życiem.

Czyli w tym sensie tekst kuratorski może się okazać emanacją nowej literatury?

To bardzo ciekawe. Bo jakie jest dziś miejsce literatury w kontekście sztuki nowych mediów? Moglibyśmy to nazwać archeologią mediów, bo faktycznie trochę tak jest, że literatura została gdzieś z boku, a inne dziedziny sztuki przechwytyją tę migotliwość mediów znacznie bardziej. Zakładam, że w literaturze nastąpił odwrót od anachronicznej formy wielkiej, solidnej narracji, której nam dziś brakuje, od tej wersji linearnej, trochę już nieoddającej świata, zaś naśladowanie tego, co się dzieje, na przykład w social mediach, jest bezsensowne z punktu widzenia literackiego. Naśladowanie wychodzi źle, więc w takim ujęciu nie ma nic. To, co się broni, to pośrednia forma: język eseju i język analizy z pogranicza refleksji filozoficznej i refleksji nad językiem. I nie mówię o traktatach naukowych, ale o próbach podejścia do interpretacji tego, czego teraz doświadczamy, jednak w formule bardziej eseistycznej. Nie wiem, na ile literatura jest w tej chwili esejem, granice są ruchome.

Otóż to. Zainteresowałam się tym zjawiskiem, przygotowując tegoroczną wystawę „Eco Expanded City”, która obejmowała różne międzynarodowe prace pokazywane we Wrocławiu. Przygotowując prezentację poszerzonego ekologicznie miasta, wyszłam z bardzo ciekawych pozycji. Oto uświadomiłam sobie, że w 2016 roku mamy piękną rocznicę: mija dokładnie pięćset lat od wydania *Utopii* Tomasza Morusa. Wróciłam do tej lektury, która wciąż istnieje w obiegu czytelniczym, choć tymczasem powstało wiele nowych książek o utopii. Wróciłam do niej jako do tekstu filozoficznego, niewielkiej powiastki filozoficznej liczącej około stu stron. Podczas czytania od razu uderza kilka aktualnych rzeczy: nowoczesny, frapujący mimo wiekowego przekładu język, sprawa roli kobiet i ich równości z mężczyznami, tego, że ludzie powinni pracować tylko określoną ilość czasu, a resztę poświęcać na naukę, sztukę i rozrywki. Wszystko fajnie, ale by tak żyć, ludzie mają... niewolników, więc jednak na podstawie *Utopii* nie można by dzisiaj budować modelu świata. Jednak wizja miast na wyspie ma wspaniałą gęstość literacką, *Utopię* czyta się świetnie i gdyby została napisana obecnie, to na pewno trzymałaby poziom literatury z pogranicza gatunków, raczej miękkiego SF niż twardego naukowego wywodu. Literatura nie może być martwa, bo wciąż inspiruje. Jedną z najpiękniejszych wystaw, którą zrobiliśmy jako WRO przy okazji biennale mediów, była inspirowana książką *Pierścienie Saturna* W.G. Sebald. Zresztą mam wrażenie, że mimo odczuwalnego dziś rozpadu świata wszystkich nas czeka jednak synergia (przynajmniej tak się dzieje teraz w dziedzinie nowych mediów). Prędzej czy później tak będziemy percypowali rzeczywistość, że różnice gatunkowe przestaną być ważne. Myśl będzie ważniejsza niż sposób jej przekazania. To jest bardzo optymistyczna wizja, niekoniecznie oddająca klimat obecnej refleksji społecznej, w której coraz trudniej o wizję pozytywną. Być może jesteśmy w przededniu wyłonienia się jakiejś nowej zasady organizującej naszą rzeczywistość i ona właśnie płynie, buduje się u różnych źródeł.

Myślę, że tak. *Utopia* ma swoje miejsce w historii filozofii i nie ma takiego filozofa przyszłości, niezależnie od tego, czy jest utopistą, czy dystopistą, który nie odniósł się do niej. Natomiast czytana dziś jest też przykładem świeżej literatury. Z kolei silną częścią praktyki artystycznej nadal jest tekst, w tym podstawowym sensie; właściwie nie ma dobrej wystawy bez dobrze napisanego kuratorskiego tekstu. Zastanawiam się, czy obecnie nie powstają jakieś ważne manifesty artystyczne, które mogą wkrótce zyskać rangę tekstów literackich. Przykładem jest dosyć dawny tekst *Manifest cyborga* biołóżki i filozofki Donny Haraway, który mówił o człowieku w dobie robotyki i na który do dziś wszyscy się powołują. Innym jest praca R. Buckminstera Fullera, amerykańskiego filozofa przyszłości z XX wieku, architekta, projektanta, wizjonera, matematyka, konstruktora, niesamowitego człowieka, który w 1969 roku napisał *Instrukcję użytkownika statku kosmicznego Ziemia*. Ten filozoficzno-teoretyczny tekst czytamy dziś jak wspaniałą literaturę. Zresztą stał się kanwą seriali i filmów, które wychowały pokolenia Amerykanów na wizji przyszłości pełnej astronautów, odkryć kosmicznych, pierwszych wyobrażonych przedstawień kosmosu, ale też na poczuciu, że jako Ziemia jesteśmy takim statkiem kosmicznym, który powinien w równowadze płynąć przez wszechświat. To tam pojawiły się pierwsze myśli ekologiczne i wizja, że jesteśmy cudowną, bogatą drobiną, która żegluje przez wszechświat, a kiedy się nam ta drobina wyczerpie, to może będziemy musieli ją opuścić, zamienić na inny statek kosmiczny, może będziemy go musieli sami stworzyć. Te wszystkie treści stały się wizjami literackimi, a potem wizjami kultury popularnej, wychodząc ze stylistyki czysto naukowej! Może więc przyszłość literatury leży w rozprawach teoretycznych, tylko pisanych znacznie śmieiej, niż pozwala na to konwencja gatunku?



A może podziały w literaturze są zbyt sztywne? Albo w ogóle niepotrzebnie stosujemy klasyfikacje w płynnym świecie sztuki? Krytyka literacka wciąż bardzo ostrożnie podchodzi do wszelkich hybryd.

To dość staroświeckie i zamykające podejście, które mocno dziwi. Przypomniała mi się pewna ciekawostka. Kompozytorem muzyki do kultowego filmu *Łowca androidów*, powstałego zresztą na motywach powieści, był Vangelis, który zrobił jeszcze wariacje na jej temat. Mamy aż trzy płyty Vangelisa związane z *Łowcą androidów*. Ostatnia zawiera – i tu widać, jak niezbadane są drogi twórczości – recytowany przez Romana Polańskiego tekst wiersza *Spotkanie z matką* Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego! Sztuka i artyści są zupełnie nieprzewidywalni. (*śmiech*) I szukanie takich niezwykłych powiązań jest czymś fascynującym. Jesteśmy przyzwyczajeni dzielić, a sztuka cały czas nam pokazuje: „Nie dziel, tylko łącz! Łącz te kropki, myśl”.

Skoro nowe media wcale nie są już nowe, a przetwarzanie i postmodernizm należą do przeszłości, to co w sensie formalnym stanowi dziś *novum* w sztukach wizualnych?

Mam poczucie, że jest nim stwarzanie. Czasem coś mnie niesamowicie zaskakuje, jak chociażby praca, którą mamy obecnie na wystawie we WRO Art Center, czyli wideo japońskiej artystki Ai Hasegawy. Pokazuje ono dziewczynę rodzącą delfina. To nie jest prawdziwy delfin, tylko robot, ale jest prawdziwy, bo zrealizowany przez inżynierów. To przepiękna realizacja. Wchodzimy w przestrzeń błękitnej wody, w pewnym momencie pojawia się czerwona plama narodzin, delfinek macha ogonem, przytula się do piersi dziewczyny i mamy taką „Madonnę z delfinem”, a obok czytamy: „Czy w ogóle chcesz być matką?”, „Czy chcesz być matką człowieka, a może nie?”. Przecież ludzi na Ziemi jest za dużo, jest ich już 7 miliardów. Natomiast istnieją zagrożone przez człowieka gatunki, więc może wolałabyś urodzić zagrożonego delfinka albo pandę, albo inne zwierzę z listy, które podaje artystka? Wszystko to jest spisane na tablicach jako narracja kobiety do kobiety. Artystka przy współpracy z genetykami i biologami tłumaczy, w jaki sposób byłoby możliwe przystosowanie macicy do urodzenia innego ssaka. Przy złamaniu pewnych barier immunologicznych teoretycznie jest to już możliwe: przyjęcie zygoty w obręb ciała kobiety. Ale na końcu Hasegawa zadaje ostatnie, niespodziewane pytanie: „No dobrze, ale w ogóle jesz mięso? Skoro mamy kłopoty z wyżywieniem tej masy ludzi na Ziemi, to może zamiast hodować zwierzęta, byśmy je sobie rodzili i potem się nimi żywili?”. I to jest przerażające pytanie, ale na gruncie tej pracy doskonałe, bo nieprawdopodobnie spójne. To nie jest chaotyczny wywód, to nie jest wymyślanie czegoś, by zadziwić i wstrząsnąć, tylko bardzo konsekwentna, intelektualna praca przekuta w rodzaj ciekawego estetycznego doświadczenia wizualnego, które odnosi się do najważniejszych wyzwań ludzkości w tej chwili. Więc w nowej sztuce znowu mamy narrację i ciekawie zilustrowany linearny namysł.

Czyli młodzi artyści sztuki nowych mediów odeszli od cyberświata i wirtualnej rzeczywistości?

Powiedziałabym, że te światy istnieją równolegle, ale poruszamy się po panoramie przeszłości nowych mediów i wyraźnie idziemy w kierunku nowych rzeczy. Z jednej strony w kierunku „nowej rzeczywistości”, kreowania niezwykłych światów i wyobrażeń, gdzie mamy nawet wrażenie, że nieistniejących materialnie, wyobrażonych i przedstawionych lub odtworzonych rzeczy możemy dotknąć, doświadczyć wirtualnie. A z drugiej strony przedmiotem sztuki wyraźnie staje się komunikacja pomiędzy nami, jej systemy, nasze poszukiwanie kontaktu i ekspresji poprzez sieć. To się spleta, komentując poszerzoną rzeczywistość.

A co ta sztuka, przy całej jej wielowątkowości, dzisiaj mówi? Jakie produkuje wizje?

Sztuka czasem potrafi powiedzieć więcej niż nauka, bo pozwalamy artystom na wolność błędzenia. Ale sztuka najnowsza jest tylko jednym z możliwych języków zastanawiania się nad zjawiskami świata i nad jego przyszłością. Być może językiem najbardziej odpowiadającym naszym czasom, ponieważ ciągle niezamkniętym i nieskodyfikowanym. Bardzo ważnym wątkiem jest dziś technologia i konieczność uważności, ważnym wątkiem jest właśnie antropocen. Istotne jest wreszcie uczulanie, bo artysta jest *whistleblowerem*, kimś wcześniej ostrzegającym, dmuchającym w gwizdek, który każe przyjrzeć się światu oraz kierunkom eksploatacji i wyczerpania, również społecznego. Kluczowe jest zwrócenie uwagi na otoczenie i pozostałych mieszkańców Ziemi, jak w projekcie symbiozy i bioartu z mrówkami autorstwa Elvina Flamingo.

Czyli znowu „Ziemia jako statek kosmiczny”?

To wciąż aktualne. Zauważ, że w swojej pracy zajmujemy się eksperymentem, sztuką, która niesie nowe przekazy i próbuje do nich budować nowe narzędzia. Z tego powodu nie ignorujemy instrumentów, które zdążyły się wykształcić, i powstających teraz, zwłaszcza interaktywnych, dających widzowi możliwość współtworzenia. Dlatego wydaje się, że szpica eksperymentu jest w tej chwili w posthumanizmie w takim sensie, w jakim człowiek przestaje być królem istnienia. Musimy się nauczyć funkcjonować jako „niecentrum”, mając wszystkie te wspaniałe narzędzia. Pora skierować ten aparat widzenia na to, co wokół, na tropienie zależności pomiędzy nami a naszym otoczeniem. Tu gdzieś jest ta szpica awangardy (rozumianej nie w sensie historycznym, jako prąd artystyczny, mający swe miejsce w historii sztuki, tylko jako postawa). To jeden z najbardziej eksperymentujących kierunków, bo w nim są bardzo trudne pytania. A przecież równie ważne, co znalezienie dobrej odpowiedzi, jest postawienie nowego pytania.

Myszkowanie po starych gazetach to jest rozkosz. Przede wszystkim żółty papier, rozmazane zdjęcia, piękna czcionka. Wreszcie treść, która zbyt często przypomina nam, że zmiany obyczajowe i społeczne nie zawsze idą tak szybko, jak nam się wydaje.

Biorę do ręki „Kobiety i Życie” z 1953 roku. Czytam o kolejnych bohaterkach, które sielską wieś zamieniają na pełne niebezpieczeństw miasto. Wszystko po to, aby wreszcie znaleźć zatrudnienie i uniezależnić się od rodziców. Jest i historia Marii Serek, która pracuje w fabryce. Bardzo chciałaby zostać przodownicą pracy. Niestety, nie ma obok jej zakładu ani żłobka, ani przedszkola. Pani Serek zmuszona jest wozić półtoraroczną córkę daleko, przez co często spóźnia się do pracy. Bo to jest tak: żłobek czynny od piątej trzydzięści, ale trzeba dziecku zmierzyć temperaturę (żeby nie było epidemii), przebrać, pomachać na do widzenia i robi się z tego pół godziny. Czyli szósta, a wtedy to już powinna stać na swoim stanowisku i zapieprzać. Przecież to jest nie do pomyślenia, że kobieta tyra i jeszcze jej kłody pod nogi rzucają. Najgorzej jest w zimie. Wtedy trzeba wstać o czwartej, dziecko ciepłe ze snu wybudzać, przewinąć, zapakować w kożuch. I do zimnego pchać, a wszystko w biegu.

Czy to tylko wspomnienie przeszłości? A gdzie tam. Taki był przaśny socrealizm, taka była „nasza mała stabilizacja”, potem transformacyjne zachłyśnięcie się nowym kapitalizmem, a w końcu neoliberalna bajeczka. Tu niewiele się zmieniło, chociaż obyczajowość powinna nadążać za zmianami politycznymi. Kobieta opiekuje się domem i dziećmi, kobieta robi codzienne wygibasy, aby wszystko udało się dopiąć. I żeby zarobić, spłacić kredyt i mieć coś w portfelu dla siebie. I byłaby w tym wszystkim najlepszą osobą na świecie, gdyby nie fakt, że pewnych rzeczy nie da się zaplanować.

Na przykład wychodzisz z dzieckiem do przedszkola, wszystko jak w zegareczku: zadzwonił budzik, kawa rozbudziła, nic się nie zepsuło. Jesteście w przedpokojku, kiedy dziecko wymiotuje. Albo nagle musi do łazienki. Albo płacze, bo chce wziąć ze sobą misia, nie wiadomo, gdzie ten miś, przecież był w pokoju, teraz go nie ma. Awantura. Ty spocona latasz po domu, rozmazało się oko, zegar jak cham łypie wskazówkami. Wszystko wali się jak w dominie, nie ma szans, że się zdąży na cokolwiek. W takiej sytuacji na własny pogrzeb by człowiek nie zdążył.

A dziecko płacze. A szef potem krzyczy. A ty w środku siebie gotujesz się jak kot w piekle. Na próżno, to wszystko nie tak. A mogłaś być Matką Miesiąca, na rozkładówce korporacyjnego biuletynu świecić uśmiechem. Zamiast tego tkwisz w korku i wystukujesz wiadomość o opóźnieniu spowodowanym „poranną niedyspozycją”. A mogłaś być zajebistą siłaczką, jak twoja babka i matka. Siaty nosić, szmatą myć linoleum za kuchenką, gotować lepiej od blogerów. Jeden fałszywy ruch i przodownica pracy mlaszcze porażką, aż jej się uszy trzęsą.

Bo polska Maria Serek lubi swoją robotę. Nie odda jej nikomu. Będzie trzymać berło z ochochli, aż jej zbieleją kosteczki na dłoniach. Nie dopuści do kojca dziecięcego i śpiochów od body i pajacyka nie da odróżnić. Będzie wierzgała, wiła się i miauczała, ale swojego królestwa nie opuści. Jest jak maszyna. Jak robot.

O, to znowu wspomnienie z przeszłości. Tym razem Polska Kronika Filmowa przygotowała zabawny filmik

na temat roli kobiety w rodzinie. Jest rok 1964, a my poznajemy Ewę. Jest jakaś dziwna, zrobiona z pudełek i świecących żarówek. Tylko nogi ma ludzkie. „Polscy konstruktorzy prezentują uniwersalnego robota domowo-kuchennego”, wyjaśnia komentator. Okazuje się, że Ewa to fantazja niczym z Lemowskiej bajki: wielofunkcyjna sztuczna inteligencja, która jest w stanie odprować dzieci, umalować się, iść do pracy, a po niej po zakupy, i ugotować obiad „prawie z niczego”. Na koniec zrobić przepierkę. „Brawo, niech żyje wiek atomowy”, chwali głos zza kadru. „Ósmego marca kwiatek dla robota!” Taka to pociecha z wiecznego szamotu. Jeszcze raz zamieszasz zupkę na ogniu, a trafi cię szlag i jasna cholera. Jeszcze raz wyprasujesz śpioszki i włożysz je do szuflady (druga od dołu), a ktoś będzie musiał zginąć. Rutyna. Zabijająca powoli, czająca się między powtarzanymi czynnościami a tykaniem zegara. Kładziesz się spać i doskonale wiesz, co będziesz robić następnego dnia, a także jak to się wszystko skończy. Rano, południe i wieczór wydają się idealnie odmierzone niczym od linijki. Jak klocki, których nie można pomieszać, jak idealnie działające tryby. Jeden fałszywy ruch i misternie ułożona konstrukcja legnie w gruzach. Stanisław Lem napisał nam hymn:

*Jam jest robot hartowany,
zdalnie prądem sterowany,
nitowany z każdej strony,
wyklepany, uzwojony,
stańcie nit przy nicie,
a zaraz ujrzycie
czworgiem swych żeliwnych galek,
jaki ze mnie zbrojny śmiałek,
jak łśni mój stalowy duch,
naprzeciw żeliwnych dwóch,
natężajcie cewki,
bo to nie przelewki,
a jeśli nie usłuchacie,
elektryczne życie dacie!*

O co chodzi z powtarzalnością życia codziennego i na pozór banalnym tańcem przewidywalnych gestów? Tymi robocimi skradaniami się, dłubaniną śrubek i zardzewiałych kończyn?

Wydaje się, że dostajemy od naszych przodków cały bagaż zapisany w ciele, które nieświadomie powtarza serię ruchów, tworząc continuum zmywania, ścierania i podmywania. Umysł pracuje wtedy w trybie czuwania, a nasze ręce i nogi wykonują te wszystkie magiczne rytuały bezwiednie. Może nawet na przekór nam samym. Poddajemy się temu w miarę chętnie, bo nie musimy wtedy dokonywać skomplikowanych wyborów i dzielić włos na czworo. Wstawienie wody na herbatę, odkurzenie dywanu, posegregowanie prania. Jeśli dochodzą do tego gesty skierowane ku dziecku, to włączamy co najwyższej funkcje uważności. Reszta toczy się sama. Wyjęcie z wózka, włożenie do buzi plastikowej łyżki z marchewką, podgrzewanie mleka. Przewijanie. Spacer po znanej do bólu trasie. Zakupy. Zło.

Nuda – to pierwsze słowo, które przychodzi nam na myśl, kiedy przypominamy sobie te wszystkie dni podobne do siebie jak zapałki. Może im te główki z siarką nieco odstają, ale patyczki przycięte równiutko, leżące w pudełku jak w trumnie.

Ogłupienie i hipnoza codziennością prowadzić mogą do silnych zaburzeń: depresji, frustracji, alienacji. Kobiety drepczące wśród czterech ścian i machinalnie zbierające klocki z podłogi przypominają bohaterki filmu Anny Baumgart *Ekstatyczki, histeryczki i inne święte*. Kobiety zombie z rozczochranymi włosami snują się i przewalają w halkach po mieszkaniu. Wrzeszczą i samookaleczają się w beznadziei zamknięcia niczym dzikie zwierzęta w klatkach. Przewidywalność ich życia prowadzi do otępienia, a ewentualne odstępstwo od normy prowadzi do wewnętrznego buntu i odrzucenia. Kto je tak więzi, kto im robi taką krzywdę, trzymając w ręku świszczący bat rutyny? Społeczeństwo, przyzwyczajenie, wygoda? One same? Tu nie ma zero-jedynkowych rozwiązań i odpowiedzi. Ludzie ludziom zgotowali ten los, a uwolnienie się z kieratu powtarzalności nie jest wcale takie proste. Choćby dlatego, że metronom odmierzający równe i podobne do siebie minuty przynosi nam również pozytywne rozwiązania. Bo rutyna to przede wszystkim poczucie bezpieczeństwa. Że za zakrętem wszystko będzie takie samo, że nic nas nie zaskoczy. Że zły świat nie rzuci się na nas z zębami, przegryzając aortę. Poukładanie i przewidywalność uspokajają i motają w ciepłym kokonie jak w pluszowej mufce. Po co z niej wychodzić, skoro nam w niej dobrze? Kto by chciał otwierać szeroko drzwi i narażać się na nieoczekiwane wichury i zamiecie, chyba tylko jakiś wariatuńcio uwielbiający ryzyko. Rytm dnia, który ułożyliśmy sobie z misternie nanizanych chwil, stanowi ramy naszego życia. Zwłaszcza kiedy mamy małe dzieci i wszelkie kontakty ze światem zewnętrznym są z różnych powodów utrudnione. Nie chodzimy do pracy, tarabanienie się z wózkiem po nieprzyjaznych ulicach nie jest najmilszym sposobem na spędzanie czasu, a znajomi zapomnieli o nas, od kiedy nie imprezujemy z nimi do rana. Pamiętam uczucie dziwnego otępienia, kiedy trzymałam na rękach swoje dziecko i patrzyłam na blok po drugiej stronie ulicy. Podpatrywałam sąsiadów i wymyślałam sobie historijki na pocieszenie. Przecież oni też mieli swoją codzienność. Ci z drugiego piętra przychodzili do domu po dziewiętnastej i od razu włączali telewizor. Świecił przez okno, jakby spadł meteoryt. Za to sąsiedzi z ostatniego piętra prawie wcale nie korzystali z dużego pokoju. Kłębili się w kuchni, gdzie gotowali i jedli od razu z garnków. Dzień w dzień kobieta pochylała się nad palnikami, za chwilę pojawiał się facet w gaciach i wyjadał palcami makaron lub ryż. Dzień w dzień takie scenki odgrywano przed moimi oczami, jakbym była w teatrze, po raz kolejny na tej samej sztuce. A czy oni podpatrywali mnie?

Chciałam być Marią Serek po lobotomii. Beztrosko łupiącą obcasami po szklanych sufitach i niekończących się korytarzach. Zostałam robotem, któremu nikt nie chce dać kwiatka.

Naszym światem rządzą komputery, ale kto rządzi komputerami? Złoczyńcy z Bonda, spadkobiercy Ayn Rand, hakerzy główna, cyborgi, wampiry, hobbity i zwykli psychopaci.

Kotki, fraszki, linki do artykułów, spoilery do serialików i lewicowe infografiki; przeglądałem sobie Facebooka, kiedy nagle w tym strumieniu błahostek pojawiło się zdjęcie dwóch mężczyzn. Jeden w powłóczyściej bieli, drugi w czarnym garniturze. Już ten garnitur wydawał się podejrzany, spychał mnie wprost do doliny niesamowitości, miejsca, gdzie mieszkają rzeczy wzbudzające niepokój. Któż bowiem widział Marka Zuckerberga w garniturze?

Przecież oglądaliśmy *The Social Network*: dresy, T-shirty, normcore'owy minimalizm, ewentualnie *fuck-you-fashion*, moda pogardy – klapki i podomka na spotkanie z inwestorami. A tu, obok papieża Franciszka, tata Facebooka stał na poważnie, w garniturze, trzymając w ręku jakieś urządzenie, model drona zrzucającego Internet z Dobrą Nowiną albo jakąś inną broń memetycznej zagłady. Więc najpierw śmiechłem, a potem zadrzałem z przerażenia, patrząc na spotkanie dwóch władców – odchodzącego świata i tego, co zaraz przyjdzie.

MATRIX I MIĘSO

Rodzeństwo Wachowskich nie ma ostatnio dobrej prasy, chociaż wciąż kręci wspaniałe filmy.

Ich zeszlowieczny *Matrix*, kino arcykultowe, doskonale opisał lęki informatyzującego się społeczeństwa – te same, które od lat eksplorowali pisarze science fiction czy japońscy komiksy. Harlan Ellison, Philip K. Dick, Masamune Shirow, William Gibson, Pat Cadigan, Stanisław Lem, Mamoru Oshii – można długo wymieniać. Komputery, które nas zniewalają; rzeczywistość, która nie jest tym, czym się wydaje. Ale to Wachowskim udało się opowiedzieć tę historię we właściwym momencie – kiedy komputery zaczęły nas zniewalać, a rzeczywistość przestała być tym, czym się wydaje – wszystko pięknie pokazując w widowiskowych metaforach wielkich farm, w których ludzi trzyma się w zbiornikach, by czerpać ich energię.

Jedyny zarzut, jaki mam po latach do *Matrixa*, to oś konfliktu – Człowiek vs. Maszyna. Dobre dla mitu, gorsze jako opis rzeczywistości. To nie Człowiek stworzył Maszynę; zrobili to konkretni ludzie. Nasi nowi władcy. W ostatnim filmie Wachowskich, tragicznie niedocenionym *Jupiterze: Intronizacji*, ludzkość znowu jest jedynie bydlęciem – tym razem dla kosmitów produkujących z niej przedłużające życie narkotyki – ale tym razem są to wyjątkowo konkretni kosmici. Kosmici kapitaliści.

REHABILITACJA FRAJERÓW

Popularność kina superbohaterskiego, celebry kultury komiksowej, seriale w stylu *Teoria wielkiego podrywu* czy modne ciuchy „na mózgowca” sprawiły, że słowa takie jak geek i nerd straciły swój negatywny wydźwięk. Kiedyś w ten sposób pogardliwie wyrażano się o młodej, wycofanej społecznie inteligencji technicznej. Czyli o tych wszystkich brzydkich chłopcach w śmiesznych swetrach, którzy lubią komputery, a w wolnych chwilach fantazjują, że mają moce Spidermana i w końcu wszystkim pokażą. W języku polskim zostały artefakty tej pogardy, takie jak tłumaczenie *Revenge of the Nerds* jako *Zemsta frajerów*.

Oczywiście największy wpływ na rehabilitację nerdów miał postęp informatyzacji. Chłopcy (i dziewczyny, na szczęście) od komputerów nagle zaczęli być *cool*, bo zaczęli dobrze zarabiać. Miliarderzy z Doliny Krzemowej (czy nawet nasze korposzczurki zarabiające tyle, że plasują się w górnych 10 procentach społeczeństwa); gdzie jest kasa, tam nie ma miejsca na heheszki. Krążące po Internecie zdjęcie czterech nerdów w niemodnych sweterkach, stanowiące podkładkę niewybrednych żartów z pryszczy i domniemanego dziewictwa, stało się przedmiotem dziennikarskiego śledztwa. Portale aż dyszały z podniecenia, gdy wyszło na jaw, że bohaterowie fotki, nastolatki z olimpiady matematycznej, robią dziś karierę w komputerach i aż tyle zarabiają! I kto się teraz śmieje?

ZBĘDNE DUSZE

Dlaczego przeraża mnie Mark Zuckerberg? Techniczni entuzjaści lubią wyzywać sceptyków od luddytów, przywoływać lęki przed odbierającymi krowom mleko parowozami czy strach rdzennych Amerykanów przed kradnącymi duszę zdjęciami. Tyle że Zuckerberg naprawdę ma swoją duszę; cyfrową kopię, memetyczne ego, mapę kulturowego genomu. Jedyna pociecha, że na razie jesteśmy mu potrzebni, jak ludzie maszynom z *Matrixa* – nasze lajki i słowa potrafi przerobić na pieniądze, sprzedając je reklamodawcom.

Ale jak długo będziemy potrzebni? My, ta szara masa, która nie załapie się na bilet do Nowego Lepszego Świata; my, których za parę lat zastąpią komputery i roboty. Jacek Dukaj, pisarz SF, opisując przyszłość w powieści *Perfekcyjna niedoskonałość*, bez sentymentu zamyka ludzi zbędnych w gettach, pańskim gestem zapewniając pełną miskę i rozrywkę, a potem skupia się na opisie przygód garstki nadludzi. Przepraszam, postludzi. Tych, którzy ewoluują ponad zwykłe *homo sapiens*. Rafał A. Ziemkiewicz, inny prawicowy fantasta, od lat ekscytuje się ideą „społeczeństwa 20:80”, w którym zbędni stanowią 80 procent. A potem opowiada o przeszłości, że bardzo dobrze, że królowie budowali piękne pałace, które stoją do dziś, biedacy by przecież wszystko przejedli.

KALIFORNIA ÜBERMENSCH

Takie prawicowe podejście jest popularne w Dolinie Krzemowej. Doskonale zarabiający informatycy są doskonale wyalienowani ze społeczeństwa. Korporacje takie jak Google dbają o swoich cudownych komputerowców, karmią łakociami i instalują hamaki przy biurkach. Cenę za ten dobrobyt płać ludzie od brudnej roboty, ochroniarze i sprzątaczkę z niewolniczymi kontraktami i głodowymi stawkami. Panuje egoizm, wyrosły na lekturach Ayn Rand, piewczynie mitu kapitalisty wynalazcy, którego motłoch chce zamordować podatkami (w polskiej wersji w roli książek Rand występują memy z Korwinem, ale efekt jest podobny), i wiara w merytokrację. A co robią z tymi wszystkimi pieniędzmi? Budują dla zabawy rakiety kosmiczne, skupują hurtowe ilości samochodów sportowych albo wyprawiają wesela w stylu *Władcy Pierścieni* za 10 milionów dolarów.

Reszta ludzkości jest władcom komputerów najwyraźniej zbędna. Pojawiają się zatem pomysły, żeby odłączyć się od USA (i ich systemu grabieży podatkowej); kolejna rzecz znana fantantom – te wszystkie miasta w chmurach, stacje orbitalne dla bogaczy jak w filmie *Elizjum*. Ale przecież to za mało, więc dlaczego po prostu nie zostać kosmitami? Jeden z bogatych informatyków, Ned Landers, postanowił wypisać się z ludzkości: jest w trakcie terapii przepisującej jego DNA na inne związki chemiczne. W ten sposób wirusy atakujące ludzi nie będą mogły nic mu zrobić. Podobną operację przechodzi jego żona; ich potomstwo będzie nowymi, lepszymi ludźmi.

HAKOWANIE ŚMIERCI

Ned Landers jest na szczęście jedynie bohaterem powieści *Stan wyczerpania* Grega Egana. Ale prawdziwi władcy komputerów mają pomysły z podobnej półki. Chcą hakować swoje życie. Rzeczy tak ludzkie jak jedzenie zamieniają na generowane komputerowo pożywki. Po co tracić czas na gotowanie, trawienie i robienie kupy? Po co tracić czas na sen czy seks? Filozof Slavoj Žižek miał wizję sztucznej wagi kopulującej z wibratorem, maszyny zwalniającej ludzi z obowiązku obcowania płciowego; najwyraźniej jest to pomysł, który przyjąłby się dobrze w Dolinie Krzemowej.

Graalem władców komputerów jest życie wieczne. Nie takie, jakie oferuje papież Franciszek, ale prawdziwe. To poprzednie pokolenie, do którego należał Steve Jobs, nabierało się jeszcze na mistycyzm, co w przypadku Jobsa doprowadziło do jego śmierci. Nie, teraz chcą czegoś lepszego. Zanim możliwe stanie się przepisanie do komputera i życie jako cyfrowa kopia w wirtualnej rzeczywistości, można przecież spróbować odmładzającej terapii poprzez transfuzję krwi od młodych ludzi. Tak podobno robi Peter Thiel, współzałożyciel PayPala, w wolnych chwilach walczącej z nielubianą prasą metodami godnymi arcyłotra z Bonda.

AMERICAN PSYCHO 2.0

Amerykański psychopata z lat 80. miał twarz *yuppie* z Wall Street. Dziś jest to gęba nerda z Doliny Krzemowej. Z pozoru wydaje się dobry, przecież chce tylko Połączyć Ludzkość albo zrobić Tanią Taksówkę, albo Jeszcze Lepszą Aplikację do Przesyłania Kotków przez Internet. Ale światem rządzą komputery, a on rządzi światem. I w ogóle nie jest do tego przygotowany. Merytokracja władców komputerowców jest w rzeczywistości fachidiokracją. Fachidiot to słowo określające kogoś, kto rozumie świat jedynie z wąskiej perspektywy swojej dziedziny. Świat to nie komputerowa symulacja, a człowiek to nie robot, nieważne iloma apkami będzie się go próbowało cyborgizować.

Co przyniesie przyszłość? Nic dobrego. Ale nic dobrego jest wciąż lepsze niż nic.

Z profesorem Grzegorzem Dziamskim rozmawia Agnieszka Wolny-Hamkało

AWH:

W swojej nowej książce *Kulturoznawstwo, czyli wprowadzenie do kultury ponowoczesnej* (Katedra, Gdańsk 2016) pisze pan, że zajmowanie się sztuką niekanoniczną jest nie tylko krytyką tych, którzy kanon tworzą, ale krytyką samego mechanizmu wytwarzania kanonu. Czy dekonstruowanie kanonów ma wymiar polityczny?

Sztuka alternatywna wobec kanonu jest polityczna?

„Nie oglądamy przecież nigdy nagiej rzeczywistości, lecz jej przetworzony przez kogoś obraz” – jaki oficjalny obraz tak zwanej kultury narodowej dominuje w mediach?

W książce cytuje pan wypowiedź Joan Scott: „Potrzebujemy teorii, która pozwoli nam myśleć w kategoriach wielości i różnicy, a nie w kategoriach jedności i uniwersalności”. Znaleźliśmy taką teorię? I jeśli tak – czy stała się dominująca?

GD:

Kanon to tworzenie tożsamości, to mniej lub bardziej wyidealizowany obraz nas samych, a precyzyjniej – obraz grupy, do której chcemy należeć. Kanon to budowanie prawdy, pewnej prawdy, bo prawda jest zawsze czyjaś, czyli jest pewną prawdą. W czwartym eseju książki zastanawiam się nad prawdą o drugiej wojnie światowej. Przywołuję prawdę polską, czeską, ukraińską, hiszpańską, francuską. Istnieją różne prawdy narodowe na temat drugiej wojny światowej. Te narracje mogą być sprzeczne, często niemożliwe do pogodzenia, jak polsko-ukraiński spór o Stepana Bandere – zbrodniarz czy bohater? Tu nie wystarczy „stać w prawdzie”, domagać się prawdy, tu wymagane są środki *stricte* polityczne, bo moja prawda zaprzecza twojej prawdzie. „Po raz pierwszy od lat możemy sami decydować, kto jest naszym bohaterem”, powiada wieloletni łagiernik, a dzisiejszy autorytet moralny Ukrainy, Jurij Suchewycz, jakby czytał z mojej książki (trzeci esej), dodając: „Nie można być prawdziwym ukraińskim patriotą, odrzucając Bandere”, bo OUN „był jedynym prawdziwie niepodległościowym niezależnym nurtem politycznym, dla którego wolność Ukrainy była wartością najwyższą” („Gazeta Wyborcza”, 27–28.08.2016). W książce mówię o różnych narodowych opowieściach, ale myślę, że tych opowieści i prawd jest znacznie więcej. Inna jest prawda kogoś z Mazowsza, inna kogoś ze Śląska czy Pomorza, inna Ślązaka, inna Mazura. I te różne prawdy rywalizują ze sobą, domagają się miejsca w naszej pamięci, tworząc czy też usiłując tworzyć kanony: narodowe, regionalne, etniczne, płciowe, a my musimy pytać jak Joan Scott, czy punkt widzenia dany kanon reprezentuje.

Tak, podważanie kanonu, pokazywanie, że jest on konstruktem, czyli został przez kogoś w jakimś celu wytworzony, jest polityczne, bo wszystkie rozwiązania proponowane przez ludzi są polityczne. Ukraińcy chcą budować swoją dzisiejszą tożsamość, zdaniem Suchewycza – żeby raz jeszcze odwołać się do tego przykładu – na podstawach narodowych, na koncepcji ludowego powstania przeciwko polskim kolonizatorom okupującym etnicznie ukraińskie ziemie. Ale mogą się przecież odwołać do innej tradycji – do kulturowego zróżnicowania Ukrainy.

Polski kanon narodowy od ponad stu lat to Mickiewicz, Sienkiewicz, Matejko, Wyspiański – z tą wszakże korektą, że jedni uważają (albo przypisujemy im takie intencje), że Polacy muszą odciąć się od tego, co swojskie, wyjść ze swojego Soplicowa (Mickiewicz), a drudzy chcą, żeby Polacy odnaleźli się w tym, co swojskie (Sienkiewicz). Pierwszym chodzi o to, żeby odnaleźć człowieka w Polaku, posługując się Gombrowiczowską stylistyką, wprowadzić Polskę w szerszy nurt kultury europejskiej, drudzy chcą podkreślać polską specyfikę. Niepokojące jest to, że polski kanon ukształtowany jest przez wiek XIX i przez to wydaje się dziś trochę infantylny, nieprzystający do współczesnej wiedzy o człowieku i społeczeństwie.

Postmodernizm zrywa z linearną koncepcją czasu i opowiada się po stronie radykalnego pluralizmu. Przyjmuje, że nigdy nie będzie jednej dominującej teorii, lecz rywalizacja wielu różnych teorii, czyli interpretacji świata. Postmodernizm widzi świat jako wielość i różnorodność, a nie jedność. Nic nie jest mu bardziej obce niż pojęcie uniwersalności. Co do przyszłości: futurologi zwykli rozróżniać prognozy krótko-, średnio- i długoterminowe. Pierwsze stanowią ekstrapolacje istniejących tendencji, trendów, dają się rozpoznać, wychwycić, zobrazować, a my oczekujemy, że każda nieomal wystawa będzie nam pokazywała tak rozumianą przyszłość, czyli kierunek, w jakim zmierzamy. Prognozy średnioterminowe obejmują okres dwudziestu–trzydziestu lat. Mieszczą się w ludzkim horyzoncie w tym sensie, że potrafimy dostrzec zmiany, jakie się wokół nas dokonały w ciągu dwudziestu–trzydziestu lat, ale nie pamiętamy już autorów dawnych przewidywań, nie pamiętamy, czyje obietnice się spełniły, a czyje nie. Wreszcie prognozy długoterminowe to obszar czystej fantazji, pełnej dowolności.



H. Kielan
Caute

Opisywana przez pana kultura ponowoczesna ma wbudowany „własny model zmiany”. Jest nim sztuka. Czy to oznacza, że sztuka jest z natury progresywna?

Sztuka jest częścią kultury i to jest sztuka uznana, zaakceptowana, „historia sztuki”, jak mawiał Zbigniew Dłubak – sztuka społecznie oswojona. Obok tak rozumianej sztuki istnieje ta niezaakceptowana, nie uważana za sztukę, która zawsze była mi bliższa. Sztuka, która nie tylko jest przeciwieństwem tego, co wspólne, zbiorowe, kolektywne, ale rzuca temu wyzwanie.

Sztuka wyprzedza teorię?

Tak, bo sztuka to nieoswojona teoria.

Czy „wielkie narracje” nadążają za zmianami dokonującymi się w świecie?

Wielkie narracje są nam niepotrzebne, bo przestaliśmy w nie wierzyć, a to nasza wiara nadawała im moc, znaczenie. Wielką narracją naszych czasów może być globalizacja, o której piszę w siódmym eseju, a precyzyjniej opowieść o dobroczynnych skutkach globalizacji. Ale czy my w takie dobroczynne skutki globalizacji jeszcze wierzymy? Czy godzimy się na to, że świat będzie się dzielił zawsze na część lepszą (świat ponowoczesny) i gorszą (świat przednowoczesny), a ludzie będą się dzielili na emigrantów (włóczęgów, jakby powiedział Zygmunt Bauman) i turystów, o czym piszę w drugim eseju? A co z opowieścią o wspólnej, zjednoczonej Europie, którą analizuję w dziewiątym eseju? Czy nadal wierzymy w tę powieść?

Pisze pan o przyjemności jako źródle nowej moralności. Co to oznacza?

Nowoczesna estetyka od swoich narodzin w połowie XVIII stulecia związana była z cielesnością i zmysłowością. Estetyka podsuwała nam pytanie, czy można wyzwolić zmysłowość spod władzy rozumu? Czy można stworzyć nierepresyjną moralność? Drogą do takiej nierepresyjnej moralności wydawało się wyzwolenie ludzkiej zmysłowości lub przynajmniej pogodzenie jej z rozumnością. Dla kontrkultury lat 60. źródłem nowej moralności miało stać się wyzwolenie seksualne, dla nas źródłem nowej moralności jest akceptacja praw mniejszości seksualnych, praw gejów, lesbijek, osób transpłciowych i transgenderowych, o czym piszę w szóstym eseju.

Pisze pan, że nasza kultura jest kulturą ponowoczesną, czyli taką, w której trwa ciągła rywalizacja różnych punktów widzenia i modeli życia. Jak pan sądzi, jakie modele życia będą dominowały w przyszłości?

Wiele lat temu na pytanie, jaka będzie sztuka przyszłości, Jerzy Ludwiński odpowiedział: każda. Mógłbym powtórzyć tę odpowiedź. Świat przyszłości nie będzie jednolity, a więc będą w nim różne modele. Zaczną one ze sobą rywalizować, bo nie będą równoważne. Więcej, będą rywalizować na własnych zasadach. Innymi słowy, znajdą się w konflikcie. Naszym zadaniem jest cywilizować ten konflikt, nie wyeliminować go, bo jest to niemożliwe.

Pewnego razu artysta Arnold Wężyk zerwał się w środku nocy, usiadł na brzegu łóżka i postanowił zmienić całe swoje życie. To znaczy nie od razu. Wiadomo, taka decyzja to jest zawsze proces i bardzo trudno powiedzieć, kiedy zostaje podjęta, przynajmniej do czasu, dopóki się nie odkształci w jakimś konkretnym działaniu. Ale istnieje coś takiego jak pragnienie zmiany. A tego trudno nie poczuć, choć oczywiście można nie zdawać sobie sprawy. I tak właśnie było w przypadku Arnolda.



H. Kielan
Utopia

Niedobudzony, siedział tak przez chwilę i gapił się w pustą ścianę, zanim do niego dotarło, gdzie jest i co robi. Dźwięki miasta za oknem gładko konturowały brzegi dopiero co śnionych fabuł. Ich sensory, już nieczytelne, zwiły się w rulonik, chowając się pod powiekami. Tym razem jakoś Arnold nie próbował ich łowić – nie sięgał po notesik, jak to miał w zwyczaju (wielcy artyści tak mają), tylko z wytrzeszczonymi oczami siedział na łóżku, nie dowierzając własnemu zerwaniu i wytrzeszczeniu.

Za oknem zadudnił tramwaj. Dudnienie to rozplątało mętlik śnienia do reszty, ustępując miejsca lepkości prześcieradła. „Muszę wyprać pościel” – przemknęło mu przez głowę, po czym uczył jej ciężar. Szybko więc spróbował ją wypełnić czymś przyjemnym. „Jestem wielkim artystą. Niczego już nikomu nie muszę udowadniać” – przywołał ulubioną prawdę na swój własny temat. Lubił tę myśl powtarzać, tym bardziej że ostatnio nie wierzył w to, co robi. Zwykle odczuwał po niej przyrost zachwytu nad sobą, który nazywał uczuciem artystycznego spełnienia. Tym razem jednak ta prawda jakoś nie przylgnęła. Coś ją fałszowało. Mimo usilnych starań zaroily się w nim zupełnie inne prawdy. A konkretnie wypadki poprzedniego wieczora. Przez chwilę łudził się jeszcze, że sobie je tylko wyśnił, lecz nie – oto stały przed nim w całej dosłowności, otaczając kordonem faktów dokonanych. Nerwowo przetarł oczy. Wstał i podszedł do okna, jak gdyby z tej pozycji mógł znaleźć właściwy dystans. Tak nawiasem mówiąc, kazało mu to zrobić łomotanie serca, co jednak zupełnie już wyparł. Wyjrzał w dół, na ulicę, i nie patrząc na nic, zaczął przewijać w pamięci całą historię z wczoraj.

„Ten chłopak... jak miał na imię?” Arnold nie pamiętał, czy chłopak mu się przedstawił. I choć dobrze wiedział, że sobie nie przypomni, przez chwilę powtarzał w myślach samo to pytanie, tak jakby miało nadać jakiś sens i kierunek. Ponieważ jednak odpowiedź nie nadchodziła, głowę znów wypełniła mu natarczywa pustka, w której zaczęły migotać poszatowane sceny – tłum na wernisażu, brzdęknięcia kieliszków, wystudiowane pozy, odpryski rozmów o niczym, pstrokatość ciuchów i fryzur, rozpędzona Gouda, która w całym tym tłumie widzi tylko jego, podpływa, marszcząc zmarszczki, ściska, cmoka w powietrze na wysokości ucha i gratuluje wylewnie, w tle piskliwy głosik Edzia Mickiewicza, mamroczonego z pogardą na temat jakiegoś krytyka, wylewna usłużność ich wszystkich, a zarazem sztuczność, która tak go męczyła i której sam nigdy, przenigdy nie ulegał. Lustrując to wszystko, odczuł zadowolenie z własnej przenikliwości – tak, widzi fałsz tych ludzi, a zatem jest prawdziwy. A że nie musi również niczego im udowadniać, wynika z tego niezbitie, że jest spełniony i wolny. Pokrzepiony tą myślą, przeszedł w końcu do tego, co go obudziło, a czego wciąż próbował sobie nie uświadamiać. Chłopak, którego imienia nie mógł sobie przypomnieć, zadał mu TO pytanie. I TO pytanie teraz załaskotało mu w myślach, zupełnie rozprasając wrażenia z wernisażu. Spróbował się na nim skupić, lecz im bardziej to robił, tym bardziej ono zniknęło, ustępując miejsca jego odpowiedzi. „Co mi do łba strzeliło?!” – skarcił się wewnętrznie. Pokręcił z wolną głową i zamrugał oczami. Za oknem, w dole, na ławce dostrzegł śpiącego człowieka.

Nie zapamiętał, czy chłopak zdążył mu się przedstawić, bo i jak miał pamiętać? W chwilach takich jak tamta był zbyt skupiony na sobie – na tym, by źle nie wypaść, jak również by nikt nie spostrzegł, że się na tym skupia. Na wszelki wypadek był więc gburowaty, co w jego

przekonaniu świadczyło niezbitie o duchowej głębi, jak również odpowiadało jego wysokiej pozycji w artystycznej hierarchii.

„Jak mam osiągnąć sukces w świecie sztuki?” – głos chłopaka ponownie rozdzwonił mu się w uszach. I ponownie go wkurwił. Co za idiota stawia tego rodzaju pytania? Samo takie pytanie skreśla przecież każdego, kto je próbuje zadawać! Każdy powinien wiedzieć, że sztukę należy uprawiać wyłącznie dla niej samej – nie dla, kurwa, sukcesu. Nie dla honorów, sławy, bycia zapraszonym, zagranicznych podróży, wystaw i rezydencji. Na pewno nie dla pieniędzy. Więc czemu to pytanie nadlatuje jak kamień? Ponieważ chwilowo nie miał odpowiedzi, postanowił to nazwać zwykłą bezczelnością. Ten chłopak był bezczelny. Bezczelny oraz głupi. „Chciał mnie sprowokować, a ja mu się, kurwa, dałem” – uczeplił się tej myśli, czując jednocześnie, jak mu się wyślizguje. Coś, co miało być całe, nieuchronnie pękało i Arnold wyczuwał to swym zmysłem artystycznym. Być może właśnie dlatego całą psychiczną energię skupił na tym chłopcu, tak jakby to on był winien jego własnym słowom. Tymczasem ich źródło tkwiło nie tylko poza chłopcem, ale i poza Arnoldem. I to tak bardzo poza, że nawet kiedy teraz próbował je przywołać, wciąż brzmiały sarkastycznie – przewrotnie napominały osobę pytającą, cierpko zwracając uwagę na właściwe tory. Przynajmniej miał taką nadzieję. Na wszelki wypadek musiał je powtórzyć.

„Zobacz, kto ma władzę i czego potrzebuje. A potem mu to dawaj. Wszystko inne miej w dupie” – czy tak właśnie powiedział? Czy może najpierw go zganiał pogardliwym spojrzeniem? Zdążył go ofuknąć? Próbował zignorować? To wszystko ważne konteksty, bo nadają tym słowom niuanse znaczeniowe. Niestety nie miał pewności, zresztą te warianty go teraz niecierpliwiły. Raz jeszcze sama odpowiedź zapulsowała mu w skroniach: „Zobacz, kto ma władzę. W dupie miej wszystko inne”.

Myśl, która była kłamstwem, gdy ją wypowiadał, teraz wydała się niepokojąco prawdziwa. Tak samo jak pytanie i chłopak, co je zadał. Teraz, w kontraście nocy, przysłychli blichtr wernisażu, przysła jego własna wczorajsza opryskliwość, z którą czuł się tak pewnie, a którą tłumaczył sobie koniecznością ochrony własnej wrażliwości. Wkradła się jakaś istotność, której dawno nie miał.

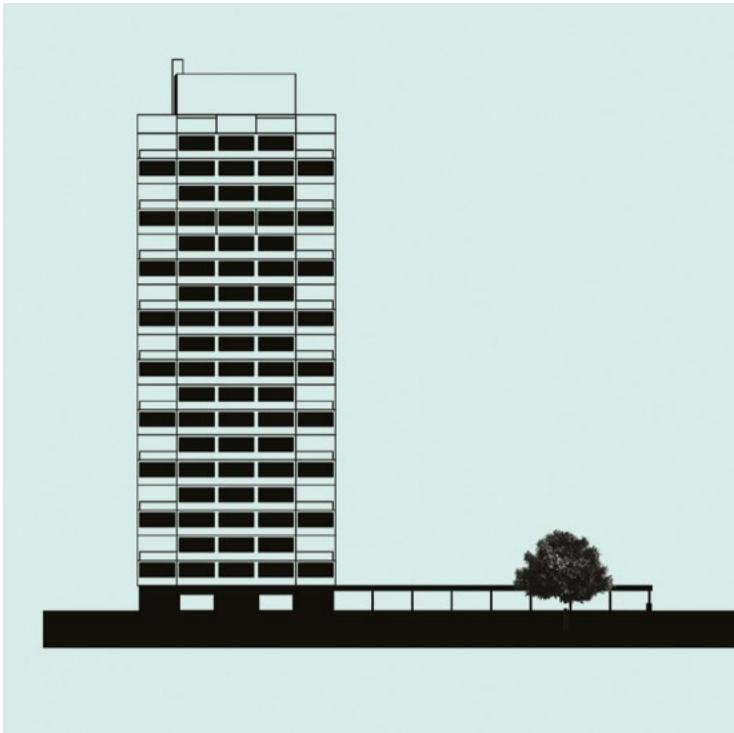
Za oknem świtało. Człowiek na dole, na ławce podniósł się i siedział. Dopiero teraz Arnold zauważył, że to ktoś bezdomny. Dopiero teraz, w niebieskawym brzasku, dostrzegł jego złachmaniony ubiór i porozstawiane wokół plastikowe torby. Ten widok uruchomił w nim lewicową wrażliwość. Uczuł werwę działania. W okamgnieniu pierzchył pytania i wątpliwości.

Wkładając w biegu dresy, rzucił się do kuchni. „Na pewno jest głodny” – pomyślał i otworzył lodówkę. Niestety, znalazł w niej tylko resztki humusu z przedwczoraj i otwarty karton sojowego mleka. Na szczęście w lodówce był jeszcze zamrażalnik, a w nim wegeburgery, o których dawno zapomniał. Spojrzał na datę. Przetknięte. „Ale to nic” – stwierdził. „Przynajmniej się nie zmarnują”. Wrzucił je do piecyka i nastawił kawę.

Niedługo potem był już pod swoim blokiem, niosąc w papierowej torbie termos z sojową latte i cztery wegeburgery.

– Hej, przyjacielu! – krzyknął ciepłym głosem. – Mam tu coś dla ciebie.

Bezdomny spojrzał dziko. Był podobny do krzewu. „Typowy” – pomyślał Arnold. We włochatej gęstwie wartko połyskiwały dwa strumyki spojrzeń.



– Masz, przyjacielu – powtórzył. – Jedz, póki gorące. – Wyciągnął rękę z torbą.

– Nie bój się, nic ci nie zrobię – dodał, całe zasoby szczerości eksportując do źrenic. – Mogę się do ciebie przysiąść? – spytał, po czym usiadł.

Bezdomny specjalnie nie śmierdział, co zdziwiło Arnolda i prawdę powiedziawszy, nieco rozczarowało.

– Jedz, jedz – powtórzył Arnold. – A jak ci będzie mało, to sobie pójdziesz i kupisz, jak otworzą sklepy – to mówiąc, podał mu w dwóch palcach zwinięte dwadzieścia złotych.

Bezdomny sięgnął po banknot i bez wahania schował go do kieszeni. Spojrzał raz jeszcze dziko i zabrał się do jedzenia. Ugryzł i zaczął przeżuwać wegeburgera, zerkając w stronę bloków. Po chwili przełknął i ziewnął.

– Zimne w środku – zachrypiął.

Arnold spojrzął z ukosa i tylko się roześmiał. Był to śmiech nerwowy, ale Arnold tak zrobił, żeby zabrzmieć serdecznie.

– Jestem Arnold – oznajmił, wyciągając rękę. Niestety, obie dłonie jego towarzysza były zajęte międleniem, przez co ta Arnolda zawisła bezradnie w powietrzu. Przez moment ją tam trzymał, choć tylko na tyle długo, żeby się przekonać, że tamten zupełnie to olał. Poczł się idiotycznie, choć na widok paznokci międlących zawartość burgera odczuł również ulgę. Aby zniwelować oba te wrażenia, opuścił dłoń w taki sposób, by przyjacielsko poklepać go nią po kolanie. „Kontakt fizyczny jest ważny – dodał szybko w myślach – żeby nie pomyślał, że się go jakoś brzydzą”.

– Jak ci na imię? – spytał.

Bezdomny znów przerwał żucie. Przełknął.

– Cudzesa masz? – charknął.

Oba srebrne źródła zamigotały chytrze. Gdy Arnold pokręcił głową, ustąpiły miejsca żółto-brunatnej szczelinie, która się wykrzywiła w straszne uśmiechysko. Wówczas Arnoldowi zrobiło się nieswojo. Bynajmniej nie z powodu papki, którą zobaczył w szczelinie – była w tym człowieku jakaś niepodległość, której się nie spodziewał. Na wszelki wypadek nazwał to hartem ducha.

– Nie mam – odparł. – Nie palę.

Próbował brzmieć mniej ciepło, ale wciąż uprzejmie. W rozedrganej gęstwie dostrzegł kosmyki brudu, które go zbrzydziły. Ponieważ bezdomny wrócił do przeżuwania, po chwili milczenia Arnold dodał:

– Staram się zdrowo odżywiać.

Natychmiast poczuł kretynizm tej uwagi. Ale co miał



powiedzieć? Tamten wcale go nie słuchał. Do szczętu był pochłonięty międleniem. Arnold zupełnie nie wiedział, jak się należy zachować. Brakowało mu skryptu. Wobec bezdomnego nie będzie przecież niemiły. Nie pozwalała mu na to lewicowa wrażliwość. Na obecnym etapie nie mógł się również wycofać, bo w końcu sam z siebie przyniósł mu to jedzenie i sam się do niego dosiadł. Poza tym dał mu termos, który zamierzał odebrać. Ciężko by było odkupić taki dobry termos.

„Ale dziad” – pomyślał. Ze wszystkich wytłumaczeń uczeplił się właśnie termosu, który wydał mu się najbardziej racjonalny. Słuchając mlasków w szczelinie, utkwiał wzrok w osiedlowym placu zabaw. Z uwagą zaczął śledzić pod kątem funkcjonalności plastyczno-performatywnych huśtawki i karuzele. Uważał, że jako artysta posiada na ten temat wiedzę szczególną, i odczuł niejaką pretensję, że nikt z rady osiedla nie zechciał z nim skonsultować koncepcji tych urządzeń, które miały w sobie potencjał polityczny. Byłoby to zgodne z profilem jego twórczości, która stanowiła narzędzie zmiany społecznej i wpisywała się w szerszy nurt praktyk emancypacyjnych. Gdy jednak już chciał wymyślać nowy, lepszy plac zabaw, jego myśli zaczęły uporczywie wracać do wypadków z wczoraj oraz do pustej ściany kilka pięter wyżej. Ze smutkiem skonstatował, że mimo socjalnego pożytku, który właśnie czynił, wspomnienie wernisażu nie stało się mniej nieprzyjemne. Pytanie obcego chłopca wciąż dzwoniło mu w uszach, a jego własna odpowiedź wciąż go uwierała. W pewnym sensie nawet ze zdwojoną siłą, bo uczynione dobro zdążyło już zadziałać, rozpraszając na chwilę dyskomfort wątpliwości.

Trochę go to przybiło. Prawdę mówiąc, bardzo. Jak odkręcić słowa? Jak cofnąć tamto zdarzenie i się z niego wyplątać? A jeśli on to nagrał? Ostatnia z tych myśli sprawiła, że serce zabiło mu mocniej. „Dziś to żaden problem”. Uczł falę gorąca. Czy to prawdopodobne? „Komórkę mógł mieć w kieszeni. Albo kto inny z boku nas nagrywał...” – analizował coraz intensywniej. A co jeżeli on to upubliczni? Jak wrzuci na jutuba? Znowu mignęła mu Gouda z pomarszczoną twarzą, a serce skoczyło do gardła. Pojął beznadziejność swojej sytuacji. Nic się nie da zrobić. „Mam to w dupie” – pomyślał. I to „w dupie” pomogło. Stres nagle rozpuścił się w poczuciu rezygnacji.

Ostatnią myśl najwyraźniej wypowiedział na głos, bo bezdomny na chwilę znowu przestał mlaskać. Zamiast tego się gapił.

– Sorry, to nie do ciebie. Swoje życie mam w dupie – doprecyzował, starając się nadać swoim słowom gorycz. „Do kogo ta mowa” – mógł skwitować bezdomny, ale zamiast tego tylko rozwarł szczelinę i makabrycznie się zaśmiał. Właściwie to zaniósł się śmiechem, głośno przytupując, aż zatrzęsała się ławka.

W tej chwili Arnold zrozumiał, że jednak się boi.

– Muszę iść – powiedział, po czym wstał z ławki. Chciał powstać ruchem sprężystym i zdecydowanym, ale wyszło sztywno. – Napij się jeszcze kawy, bo zabieram ten termos.

Wówczas dwa źródelka przybrały złowieszczy połysk.

– Spierdalaj – usłyszał nagle, a ulubiony termos zniknął za pazuchą.

Artysta Arnold Wężyk zakiwał się bezradnie.

– Jesteś złym człowiekiem – oznajmił po dłuższej chwili, bo zupełnie nie wiedział, jak zareagować. Szarpać się z bezdomnym? Wcierać w siebie te brudy?

– Spierdalaj!! – ryknęło z gęstwy.

Arnolda przeszyły dreszcze.

– Miej go, niech ci służy – rzucił i ruszył do klatki. W gardle i nad oczami osiadł mu gęsty kopeć. Było mu siebie szkoda i był na siebie wściekły.

W drodze na górę po schodach żałował się jeszcze bardziej. Żał było mu termosu i własnej wrażliwości, z którą nie po raz pierwszy ktoś postąpił tak okrutnie. Chociaż jednocześnie w głębi ducha się cieszył, bo ta własna żalność bardzo go wzruszyła – tak bardzo, że czuł się lekki. Tego potrzebował. Mniej więcej na trzecim półpiętrze łyzy mu nabiegły do oczu. I byłby się całkiem rozkleił, gdyby w tym momencie do głowy nie wpadła mu myśl cudowna i jasna.

Już miał otwierać zamek, tylko nie mógł wcelować, bo oczy zaszyły mu łzami, gdy nagle pojął, zrozumiał sens swojej wypowiedzi. Chłopak zapytał go o reguły sukcesu. I on mu, zgodnie z prawdą, te reguły zdradził. Natomiast nie powiedział, co znaczy być wielkim artystą. A przecież jedno z drugim nie ma nic wspólnego! Można być wielkim artystą i nie osiągnąć sukcesu, jak również osiągnąć sukces, nie będąc wielkim artystą! (Obie z tych alternatyw były tu nieistotne). Z wrażenia aż wsparł się o ścianę. A zatem, wbrew obawom, okazał się wielkoduszny i przenikliwy zarazem! Paradoksalnie mądry! I dobrze wiedział, co mówi!

Pokrzepiony tą myślą, trafił kluczem do zamka. Zły dziad prysł jak widziadło i wszystko pojaśniało. Nawet utrata termosu stała się do zniesienia. Pytania i wątpliwości okazały się ledwie majakiem w środku nocy, stanem poplątania, podszeptem nieświadomości. Na całe szczęście w porę zdołał je pochwycić w stalowe cęgi logiki i unieszkodliwić. Odjęło jak nożem uciął. Tyle stresu po nic. „Jestem zbyt wrażliwy” – pomyślał o sobie z czułością. „Nie powinienem tak się angażować”.

Z tą myślą kładł się do łóżka, porozumiewawczo zerkał na jedyne świadka zażegnanego kryzysu – pustą ścianę naprzeciw. „Muszę zmienić pościel” – zamigotało mu jeszcze, lecz dziad, termos, Gouda zaczęły szybko wirować, wciągając go coraz głębiej, odklejając od światła klajstrującego powieki.

Przyśniło mu się, że trafił na ekskluzywne party, co miało prawdopodobnie związek z planowaną wkrótce jego wystawą w Dubaju. W połyskującym, rozpaplanym tłumie przepływały znajome twarze artystów, galerzystów i kolekcjonerów – tych najwybitniejszych i najbardziej wpływowych. Byli też, rzecz jasna, ważni kuratorzy i dyrektorzy muzeów, jak również celebryci, sportowcy, gwiazdy estrady i mody.

Arnold kręcił się przez chwilę, swoim sprawdzonym zwyczajem udając naturalność i obojętność na wszystko.

Po jakimś czasie odniósł jednak wrażenie, że dziwnie na niego patrzą. Czyżby nikt go nie poznawał? Zaniepokojony, posłał na lewo i prawo kilka pogardliwych spojrzeń i czekał na rozwój wydarzeń, powtarzając w myślach, że mu nie zależy.

Wtedy zobaczył Goudę, która rozmawiała na boku z jakimś łysawym typkiem, otoczona wianuszkiem wyfraczonych gości, którzy co rusz odpalali gromkie salwy śmiechu. Lawirując, spróbował się do niej zbliżyć – wyminął kelnera z tacą dzwoniących kieliszków i nastąpił niechcący jakiejś pani na nogę. Pani głośno syknęła, obrzuciwszy Arnolda oburzonym spojrzeniem.

Syk ten najwyraźniej usłyszała Gouda, która zerknęła na Arnolda zupełnie bez wyrazu, nie przerywając rozmowy. Arnold wyciągnął rękę, żeby jej pomachać, lecz jej wzrok zdążył już wrócić do rozmówcy.

– Gouda! – prawie krzyknął. – Czy ty mnie nie poznajesz? Pomogło to o tyle, że spojrzała raz jeszcze, wyniośle go taksując. Co gorsza, obrócił się ku niemu także łysawy typek, w którym rozpoznał natychmiast artystę Jeba Voonsa. Na jego widok poczuł gwałtowne mięknięcie kolan. Voons bowiem uosabiał to wszystko, czego Arnold nie cierpiał i co zwalczał niezłomnie swoim art-aktywizmem – komercję, płyciznę, obłudę, rozrywkowość, neoliberalny wyzysk i zgniły kapitalizm. I Gouda z nim rozmawia?! Co to właściwie ma znaczyć?!

– Co ten pan tu wyprawia? – postyszał jej skrzeczenie. – To nie jest miejsce dla pana!

Arnold stał jak wryty.

– Proszę go wyprowadzić! – Wysoki, barczysty ochroniarz już schwycił go za ramię.

„To mi się chyba śni” – pomyślał Arnold i ukrył twarz w dłoniach. Zobaczył ciemność i poczuł, jak mu ucieka podłoga. Już gotował się na to, że wyrznie w coś potylicą, gdy nieoczekiwanie złapały go czyjeś ręce. „Wynoszą mnie” – zrozumiał. Poznał po kołysaniu. „Wynoszą, ale dokąd?” Tu jego serce zamarło. „Chcą mnie wyrzucić... na śmietnik...” Spróbował się obudzić. Lecz kiedy otworzył oczy, zobaczył nad sobą rozradowaną twarz Voonsa. Ten śmiał się do rozpuku.

– Jestem uzewnętrznieniem tego, wewnętrzne... Jestem uzewnętrznieniem tego, wewnętrzne... – powtarzał nie wiedząc czemu, demonstrując wspaniałe, amerykańskie zęby.

To ostatnie zdanie wryło mu się na tyle, że kołatało w głowie jeszcze długo po tym, jak znowu odczuł na skórze lepkość prześcieradła. Kontrasty słoneczne na ścianach niezawodnie zdradzały wczesne popołudnie. „Kurwa, znowu zasnę” – zganił się wewnętrznie. Przypomniała mu się ważna kuratorka, z którą miał mieć spotkanie. Kurwa, na śmierć zapomniawszy. „Trzeba będzie przesunąć. A potem być dla niej miłym” – na samą tę myśl aż się skrzywił. Postanowił przynajmniej zapisać to, co mu się przyśniło. Sięgnął więc po notesik i zaczął go wertować. Wertował coraz gwałtowniej, po czym się zerwał i wrzasnął. Notesik był pusty.

Bartek Zdunek

Dlaczego wizje przyszłości
muszą być czarne jak smoła?

***Podobno George Bush
powiedział kiedyś, że naszym,
czyli ludzi, największym wrogiem
jest nieprzewidywalność.
Podobno był to „tata Bush”,
więc chyba można wspominać
bez obciachu, na który skazuje
szkarłatna litera W, czyli Dablju.***

Słowa na pozór banalne mówią tak naprawdę bardzo dużo o naturze ludzkiej. Człowiek to istota, która lubi wiedzieć i mieć kontrolę, a wszystko, co rozmyte i bezkształtne, wzbudza w niej lęk. Pobieźna choćby obserwacja przedstawicieli gatunku każe co prawda podważać powyższą definicję, ale założmy, że jest ona prawdziwa. Jeśli tak, to władza, wraz z jej złotoustymi przedstawicielami w typie „taty Busha”, nie jest niczym więcej jak rzeczonyj natury ludzkiej emanacją. Łatwo to stwierdzić, obserwując los kolejnych etapów wielkich przełomów technologicznych. Wszystkie zabawki, tak pieczołowicie przez nas konstruowane, padają łupem władzy, która zamienia je w narzędzia kontroli. To, co nosimy głęboko w sobie, odbija się od władzy i wraca do nas. I tylko od czegoś, co można nazwać dysponowaniem subtelnością nacisku, zależy, czy konstrukcje społeczne powstałe w wyniku tego ping-ponga nazywamy później demokracjami, czy tyraniami. Tyle domorosłych Foucaultów.

Tytułowe pytanie pozostaje niepokojąco aktualne, zwłaszcza w czasach, które wydają się pełne przesłanek mówiących, że to wszystko nie może się dobrze skończyć. Powszechną katastrofizację najprościej wyjaśnić poprzez mechanizm projekcji. Zlaicyzowany Zachód nie jest środowiskiem, które jakoś szczególnie wspiera jednostkę w jej zmaganiach z eschatologią. Niby wierzymy w naukę, przepływy energii i kojący głos Carla Sagana rozprawiającego o pięknie kosmosu, ale tło tych roztrząsań pozostaje na ogół czarne. Bóg umarł dość dawno temu, żałoba jednak się przeciąga. Wszystko wskazuje na to, że jej przepracowanie zajmie jeszcze trochę czasu. Oczywiście nadal dają się zaobserwować ogniska optymizmu, ale pech chce, że powoli gasną wraz z kapitalizmem, którego optymizm jest kołem napędowym. Jednostkowe poczucie kresu odbija się nieuchronnie na powszechnym entuzjazmie wobec całego tego zamieszania, które nazywamy zachodnią cywilizacją, ale jest jeszcze coś innego,

co wzbudza niepokój. Wprawdzie rok dwutysięczny wydaje nam się zamierzchną przeszłością, ale niech nas nie zmyli kilkunastoletnia perspektywa, z której na niego spoglądamy. Nadal żyjemy w czasie symbolicznego przełomu, co niesie niepewność. Niby to tylko cyfry, drobne zegarmistrzowskie poprawki, to w nich jednak kondensują się sumy wszystkich strachów. I choć to bardziej *Zeitgeist* niż codzienne doświadczenie, to porządkując szafki, przekopując ogródek bądź przekładając papiery na biurku, daleko przed nim nie uciekniemy.

W kwietniu dwutysięcznego roku, kiedy zegarki nadal tykały głośno, magazyn „Wired” opublikował głośny esej Billa Joya pod tytułem *Why the future doesn't need us*. Znany programista i twórca mikroprocesorów ostrzega w nim przed entuzjazmem związanym z rozwojem sztucznej inteligencji – finału technologicznego wyścigu zbrojeń. Według dystopijnej wizji Joya maszyny wcześniej czy później staną się bardziej inteligentne od człowieka. Niewykluczone, że postanowią wówczas zająć jego miejsce. To, czy zdecydują się człowieka wypłenić, czy też zamkną go w czymś na kształt ludzkich rezerwatów, będzie zależać tylko od maszynowego sumienia. Czym jest maszynowe sumienie? Niektórym wydaje się, że musi być podobne do naszego. Wszystkim szukającym w tym podobieństwie ukojenia należałoby polecić prześledzenie losów gatunków, które wymarły w okresie panowania *homo sapiens*. Człowiek, montujący w sterylnych laboratoriach najbardziej wyrefinowane wytwory swojego intelektu, stwarza *de facto* swojego następcę. Nie jest to oczywiście żadne odkrycie. Temat ten przerabiają od lat autorzy SF, filmowcy i popkultura. Jest jednak w tej projekcji metafizyczna tajemnica. W jej cieniu czyha popęd śmierci, który każe wkładać ogromny wysiłek w próby zrealizowania najbardziej wyrefinowanych scenariuszy samozagłady. Nazywamy to wszystko przewrotnie rozwojem, podczas gdy, jak sugeruje Joy, chowając się w swoim emersonowskim szalasy, należałoby przypomnieć sobie proste słówko: wystarczy.

Człowiek, którego największym wrogiem jest nieprzewidywalność, bywa niecierpliwy. Pragnienie kontroli wymusza na nim zorganizowanie sobie nawet własnego końca. Czasem niecierpliwość jest tak duża, że skłania do drogi na skróty. Najprostszym skrótem jest wojna. Znana, oswojona, przewidywalna – najlepsza! W kontekście wojny troski Joya wydają się przesadzone. Stary, dobry *agon* wydaje się większym zagrożeniem niż sztuczna inteligencja. Nie zapominajmy jednak, że wszystkie laboratoria i fabryki cały czas pracują pełną parą, a militarystyczne wzmożenia zawsze sprzyjały rozwojowi nowych technologii. Jakoś tak się układają dzieje naszej cywilizacji, że wola bardziej efektywnego zabijania stymuluje jej rozwój.

Przyszłość nas nie potrzebuje, mimo to wchodzimy w osobliwą grę ze swoim przeznaczeniem. Pomaga w niej spryt – dar pozwalający kluczyć, omijać przeszkody, tworzyć skomplikowane kombinacje przeinaczeń, półprawd i oszustw. To zabawa w chowanego, w której z roku na rok jest coraz mniej miejsc do ukrycia się. Z niebezpiecznych zabaw rodzą się filozofia i literatura. Dystopie – połączenie jednego i drugiego – przechwytyują lęki związane z tym, co niosą jutro i pojutrze. Tworzenie dystopii ma w sobie element zaklęcia rzeczywistości. W umiejętności skonstruowania wizji najczarniejszej z czarnych pokładamy nadzieję dotyczącą jej niespełnienia. Pragnienie to czyni z wyobraźni parasol ochronny. Pod nim zadajemy pytania o to, co będzie dalej. W dystopijnych, możliwych światach szukamy odpowiedzi. Impuls dystopijny transcenduje rzeczywistość, tworząc fikcję przyszłości, ale bagaż, który ze sobą zabiera, jest sumą teraźniejszych lęków. Powstały tym sposobem dystans pozwala na chwilę beztroski. Dystopie pokazują, że wszystko, co najgorsze, dopiero przed nami. Lęk jest przecuciem katastrofy, oblepiającym jak smoła. Przerzucanie go w przyszłość nie przyczyni się do jego zniknięcia. Dlatego należy bać się już dzisiaj i należy pisać o tym książki. Całą resztę, tak czy inaczej, załatwi popęd śmierci.

Dorota Danielewicz

Dolcedo

Papierowymi chusteczkami ocierają oczy z łez. Jolanda spogląda na mieniącą się kolorami chusteczkę Yorika, łzy śmiechu mają inny odcień niż łzy bólu, ale te zdarzają się już nader rzadko, na ogół u stomatologa. Jolanda ma ogoloną głowę, w uszach wielkie kolczyki z szafirów. Jej sukienka sięga kostek, uszyła ją sama. Jest gorąco, sukienka jest z cienkiego seledynowego jedwabiu, kończy się nad piersiami. Jolanda nie nosi bielizny, lubi czuć dotyk chłodnego materiału na ciele.

„Zobacz, mój sok jest z jabłoni, na którą właśnie pada deszcz” – stwierdza Jolanda i bierze łyk ze szklanki.

Yorik jej nie słucha, bo pijąc sok, równocześnie zapuszcza korzenie, które dosięgają Jolandy od dołu, z impetem wrastając jej w stopy. „Ach!” – wzdycha, kiedy zielony prąd przechodzi jej przez nogi, kobiecość i biust. Zieleń ma smak kiwi i trawy, lekko łaskocze stawy, jest raczej lewoskrętna. Krew Jolandy zaczyna płynąć wolniej, usta w dole i na górze łączą się w jedną przestrzeń. Wtedy błogość dosięga mózgu i jest za późno. Eksploduje w ciszy, zieleń przemienia się na moment we wszystkie barwy spektrum, na końcu króluje magenta. Reklama Festiwalu Filmów Retroerotycznych na blacie stolika zastyga na moment na kadrze z *Oczu szeroko zamkniętych*. Nie ma to większego znaczenia.

Speszona Jolanda rozgląda się po kawiarni, czy nikt nie widzi jej szczytowania. Jedynie przy stoliku obok gwałtownie zbulgotał smoothie z kielków

Stupid
stupid



M. Wędzicka
Stupid stupid

pszenicy. Gdzieś w kuchni spadł widelec i z brzękiem potoczył się po kamiennej posadzce.

„Idiotka, stracona okazja!” – jest trochę zła na własny brak dyscypliny. Postanawia naprawić stratę i chwyta za rękę Yorika, puszczając falę energii błękitu, tak jej akurat pasuje. Błękit jak niebo, jasny, czuły. Yorik ma błękitne oczy. Dziś są takie, wczoraj były jeszcze lila. W zależności od nastroju zmienia mu się kolor tęczy. Jest w czerni, długa abaja bez rękawów to ulubiony strój Yorika. Zna Jolandę już od siedemdziesięciu lat, jednak według nowego kalendarza dopiero od siedmiu godzin.

Tymczasem ona nieśpiesznie głaszcze go na niebiesko. Błękit chłodzi, jest jak znalazł na dzisiejszy upał. Yorik czuje, jak pęcznieje, jak rośnie i twardnieje jednocześnie w niej i poza nią. Podekscytowany zaczyna kręcić się na krześle. „Wejź we mnie jeszcze głębiej” – szepcze Jolanda, pochylając się w jego stronę. Usta przy uchu, ciepło słów, łaskotanie włosów. Wilgoć Jolandy pachnie deszczem na liściach jabłoni. Męskość Yorika ma smak pieczonych kasztanów. Nie trzeba niczego robić, Yorik już wie, że Jolanda bardzo siebie kocha.

„Jesteś sobą?” – pyta delikatnie i ściska jej dłoń.

„Jestem sobą i tobą”. Oddycha głęboko i wpuszcza w siebie jego męskość. Tym razem jest lekka. Lubi smak pieczonych kasztanów, bardzo. Już dawno nie był taki jak dziś, taki smaczny. Teraz płyną razem na wysokiej fali,

udało się. W tej chwili pocałunek byłby nie na miejscu, są już dalej. Yorik pije sok z jonatanów, patrząc z czułością na nabrzmiałe piersi Jolandy. Pod seledynem cienkiej sukienki dokładnie widać ich kształt. Pachną jak mokre jabłka.

Domknęło się koło ekstazy, Yorik wysyła zieleń po raz drugi, od Jolandy bierze błękit, koło krąży, pulsuje, piją sok z jonatanów, na jabłoń pada deszcz, Jolanda wyciąga kasztany z ogniska. Siedzą po dwóch stronach stolika. Szklanki odbijają reklamę Festiwalu Filmów Retroerotycznych. Twarze gwiazd filmu ubiegłego stulecia. Kobiety z tatuowanymi brwiami, żeby wydawać się sobie piękniejsze. Mężczyźni, przekonani, że muszą pić drinki.

„Czego ci potrzeba, Jolando?” Yorik wie, że teraz jest czas na pytanie ostateczne. Koło energii pulsuje w takt serca, wszystko jest możliwe.

„Pojeźdźmy do Dolcedo!” – prawie krzyczy, jej głos jednak rozplywa się w gwarze kawiarni.

Yorik przytomnie kładzie na stoliku opłatę za napoje, zanim znikną oboje. W Dolcedo akurat zaczął się sezon na oliwki.

Od około dwóch lat przygotowuję się do realizacji dużego projektu audiowizualnego dotyczącego przyszłości ludzkości.

Produkcja ma charakter transmedialny i nosi tytuł *The Future of Forever*, a w jej skład wchodzi: film dokumentalny, doświadczenie VR, gra mobilna oraz chatbot, czyli sztuczna inteligencja porozumiewająca się z użytkownikiem poprzez komunikator internetowy.

Podczas pracy nad tym wymagającym i arcyciekawym zadaniem mam okazję rozmawiać z ludźmi, którzy poświęcili życie torowaniu nowych, często nieoczywistych dróg ku przyszłości. Staram się poznać nie tylko ich motywacje i oczekiwania, ale też konteksty ich działań oraz rozwijanych przedsięwzięć. Gdzieś po drodze, w nadarzających się niezbyt często wolnych chwilach przyglądam się temu, jak z wyzwaniem przyszłości mierzone się na obszarach mi najbliższych: w kinematografii, sztukach wizualnych i literaturze.

Dysponujemy całkiem zasobnym magazynem wyobrażeń przyszłości oraz obcych, odległych światów, z którymi kiedyś będzie nam dane się skomunikować. Powstawały one przez stulecia i stanowią dla nas wspaniałe źródło wiedzy o ich autorach; są też cenną inspiracją do debatowania o tym, jak mógłby wyglądać nasz świat, gdybyśmy oderwali się od aktualnie obowiązujących dogmatów. Utopie przednowoczesne, dwudziestowieczna fantastyka czy rozkwit science fiction w filmie i telewizji oddawały lęki swoich czasów i szkicowały modele rozwiązań powszechnie uznawanych za nierealne, acz ekscytujące.

Nadszedł jednak wiek XXI i wiele zjawisk z tych, które dotychczas uważano za wiecznotrwałe i nieusuwalne, zaczęło uginać się pod naporem ambicji badaczy i innowatorów. Ograniczenia czasowo-przestrzenne oraz biologiczne dziś tracą swoją rangę w oczach ludzi, którzy głośno twierdzą, że dzieli nas tylko krok od radykalnej zmiany cywilizacyjnej. Transhumanizm, pomału stający się jednym z głównych nurtów myślowych współczesności, chce uwolnić człowieka od śmierci i chorób za pomocą technologii. Rozwój sztucznej inteligencji ma nam zapewnić cyfrową nieśmiertelność, a Elon Musk i NASA zamierzają w ciągu dwóch-trzech dekad osiedlić ludzkość na Marsie. Rzeczywistość dogania marzenia utopistów, przez lata skrupulatnie utrwalane na papierze i taśmie

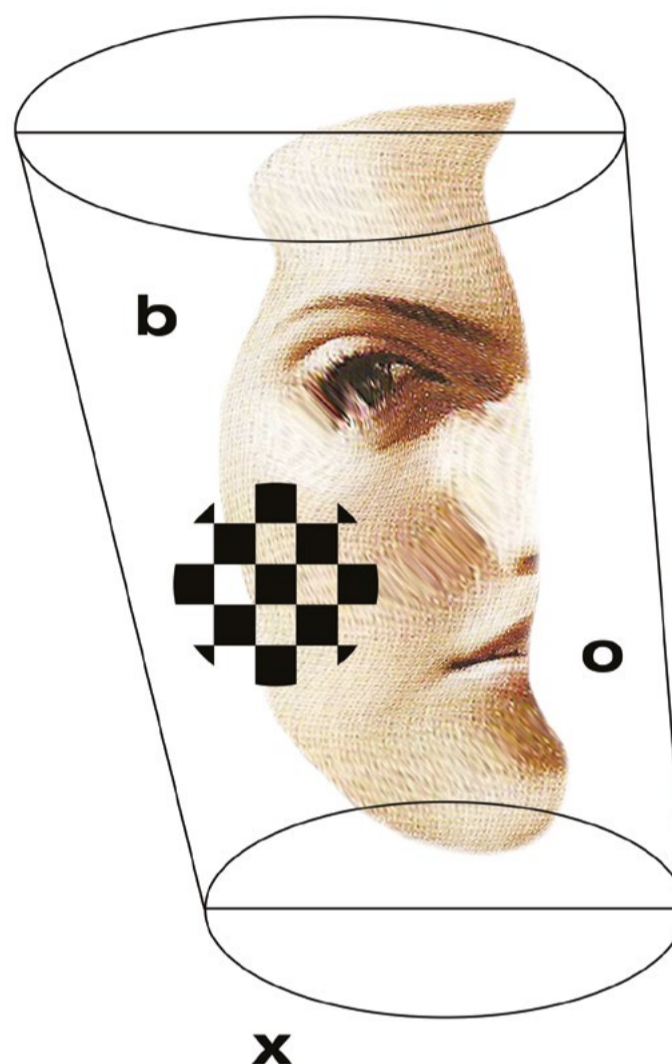
światłoczułej. Jednocześnie odczuwamy wszelkie skutki uboczne tego procesu (jak chociażby stopniowy zanik prywatności i anonimowości). Wizje przyszłości i sny o nieznanym krainach blakną, tak jak blaknie złudzenie dziecka, które przestaje wierzyć w magię i zaczyna rozumieć, że do świata utraconej nadziei nie ma drogi powrotnej. Bo przecież w większości marzeń wcale nie chodzi o ich spełnienie.

*

XX wiek wydawał się rajem dla entuzjastów przyszłości. Być może traumy i lęki, które spadły na ludzkość na przestrzeni ubiegłego stulecia, były tak potężne, że musiały znaleźć ujście w kwitnących fantazjach o obcych planetach, nowych cyfrowych bytach i coraz bardziej spektakularnych katastrofach. Technologia dostarczała wyobraźni nowych rozwiązań, których dostępność stale rosła. Okres zimnej wojny sprzyjał mnożeniu snów o potędze oraz ich mrocznym podłożu lub nieoczekiwanych dramatycznych konsekwencjach. Zwykle chodziło o jakiś rodzaj *katharsis* lub zwykłego opamiętania się w coraz dalej idących postulatach ideologicznej bądź gospodarczej ekspansji. Trend ten utrzymuje się w kinie najnowszym, które stara się jak umie polemizować z agresywnym kapitalizmem, rosnącym rozwarstwieniem społecznym czy zagrożeniami ekologicznymi (*Wyścig z czasem*, *Elizjum*, *Dystrykt 9* i inne).

Wiele dzieł dotyczących przyszłości powstawało wokół refleksji egzystencjalnej lub metafizycznej, gdzie głównym przedmiotem zainteresowania reżysera jest świadomość jednostki. Tak było chociażby w *Solaris* Tarkowskiego, tak jest też w *Interstellar* Nolana.

Czasem chodziło o odbudowę wiary, o wskrzeszenie przykurzonego marzenia o ukrytym potencjale ludzkości. Tak narodziły się *Gwiezdne wojny* Lucasa. Podobnym tropem, chociaż z nieco mniejszym rozmachem, szli twórcy sagi *Star Trek*, piewcy codziennego bohaterstwa, tolerancji i wiary w honor. Zupełnym zaprzeczeniem tej poetyki stał się wiele lat później serial *Z Archiwum X* Chrisa Cartera, który całkowicie



zmienił sposób relacjonowania zależności Ziemia – kosmos. W latach 90. nie było już miejsca na spiżowego ducha kapitana Kirka i jego nieustraszonej załogi. Czas futurystycznych baśni i bajek dobiegał końca. Nadeszły czasy bolesnej weryfikacji marzeń o tym, co naprawdę jest *out there*.

Gdy minął czas ekstatycznych ilustracji Franka R. Paula, literatury Clarke'a, Dicka i Lema, wreszcie serii filmów *Obcy* i *Matrix* (dzieło braci Wachowskich to ostatni, moim zdaniem, triumf filmowej wyobraźni), popkultura zachodnia z wolna zaczęła ujawniać, że nie ma pomysłu na przyszłość, nie towarzyszy jej żadna wizja, nie stoi za nią żadna utopia. Teraźniejsze realistyczne lęki zaczęły wygrywać z wizjonerskimi metaforami. Wiek XX dobiegał końca, a wraz z nim wyczerpywały się scenariusze przyszłości.

W wieku XXI szybko okazało się, że jedynym pomysłem na lepsze jutro, jaki mamy, jest odtwarzanie sprawdzonych rozwiązań, ucieczka w sentymentalizm lub pełna rezygnacji akceptacja *status quo*. Począwszy od Batmana poprzez większość produkcji filmowych mierzących się z pytaniami o to, co dopiero ma nadejść, coraz wyraźniej widać, że świat przyszłości jest naszym światem, Gotham City jest Nowym Jorkiem, a jeśli gdzieś czai się zło, to tylko w nas – zwykłych i poranionych. Tak jakby scenarzyści i reżyserzy nie wierzyli ani w ludzkość, ani w siłę wyobraźni. Jakby pozostał im jedynie eklektyczny eskapizm do czasów dzieciństwa rodem z serialu *Stranger Things*. Być może dlatego producenci i nadawcy chętnie wracają do tytułów, które powstały w czasach, gdy fantazja i humanizm miały jaką taką rangę. Stąd nowe odcinki *Z Archiwum X*, kolejne części *Gwiezdnych wojen*, *Star Treka*, a nawet – już wkrótce – *Łowcy androidów*. Niestety, w przeciwieństwie do swoich pierwowzorów nowe odsłony dawnych hitów spełniają jedynie funkcję rozrywkową, pozostawiając nas obojętnymi na to, z czym kiedyś mierzyli się ich twórcy. Nostalgiczna pamięć o czasach, w których byliśmy niewinni (nawni?), wydaje się jedynym miejscem, gdzie jeszcze żyją jakiegokolwiek wizje przyszłości. Dla otaczającej nas rzeczywistości to chyba nie jest najlepszy znak.

Kiedy Wowa Tatarski, bohater powieści Generation „P” Wiktora Pielewina, pracujący w firmie fabrykującej życie polityczne, dowiedział się, czym naprawdę się tam zajmują, zapytał swojego szefa, na czyje zlecenie wymyślają polityków, skoro oligarchowie są opracowywani piętro niżej. W odpowiedzi jego przełożony z całej siły go uszczypnął i zalecił, żeby Tatarski zrobił to samo za każdym razem, kiedy przyjdą mu takie myśli do głowy.

Marzy mi się społeczeństwo powstałe z przebłysku świadomości Wowy Tatarskiego, pozbawione bólu i jakiegokolwiek wizji przyszłości, tylko przeżywające swoją terażniejszość.

Wszystkie wizje przyszłości karmią się terażniejszością. Zwolennicy tych wizji żerują na naszych lękach i ambicjach. Chcą realnie wpłynąć na nasze działania, a więc też na przyszłość. Wiedzą bowiem, że wizje przyszłości nie mogą mieć oficjalnej legitymacji w terażniejszości. Dlatego niektórzy twórcy tych wizji (prorocy, wróżbici, wróżki, jasnowidzowie, egzorcyści) często twierdzą, że ich wiedza o tym, co się zdarzy, bierze się z niedostępnych zwykłym śmiertelnikom porządków, takich jak objawienia religijne, narkotyczne wizje czy innego rodzaju epifanie. Inni, bardziej nowocześni (neoliberalowie, amerykańscy naukowcy, poszukiwacze UFO, zwolennicy teorii spiskowych), przyznają, że ich rozpoznania pochodzą z analizy obecnej rzeczywistości i historii, prowadzonej jednak za pomocą tylu technik i badań, że normalny człowiek nie jest w stanie tego zrozumieć i dlatego musi zaufać bardziej popularyzatorskiemu streszczeniu też na temat tego, co ma się wydarzyć. W obu przypadkach wyznawcy starają się nas przekonać, że przyszłość potrzebuje naszej natychmiastowej pomocy, bo inaczej nadejdzie katastrofa albo, co gorsza, nic się nie zmieni.

A przecież w społeczeństwie kapitalistycznym musimy żyć dla zmiany, dla przyszłości, to jest główny przekaz wszystkich couchów, którzy dorzucają do tego stare hasło, że wszystko zależy od nas. Ciągłe rozpalane ambicje, nieznajdujące spełnienia w terażniejszości, muszą przenosić się na przyszłość ze zdwojoną siłą. Są to m.in. niekończące się rozmowy o pracę, podnoszenie kwalifikacji na kolejnych kursach menadżerskich, chodzenie na fitness, siłownię, planowanie wakacji, wymuszenie zmiany nazwy swojego stanowiska w korporacji bez zmiany wynagrodzenia, tworzenie CV, otwieranie konta na Foreksie, kolejna terapia itp. Zamiast przeżywać swoje życie,

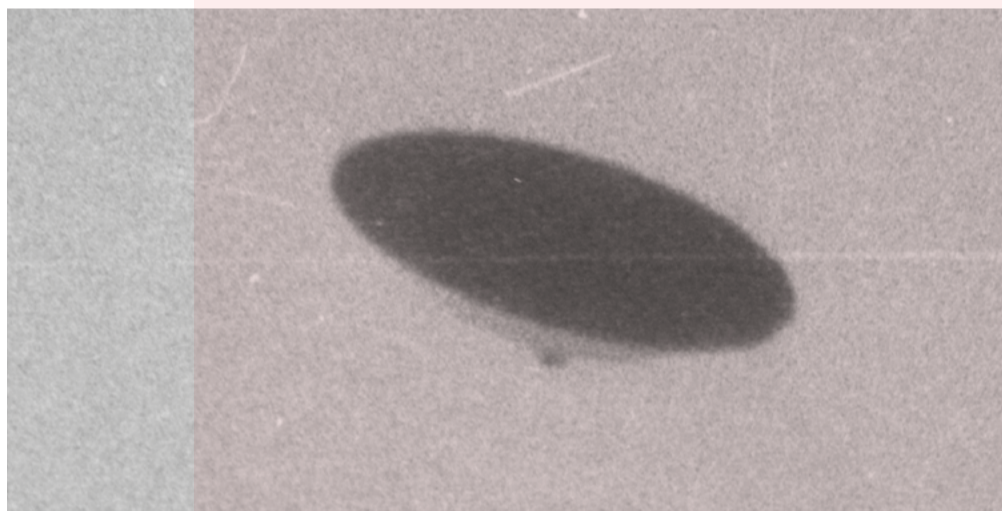
nieustannie planujemy, jak będzie ono wyglądać w przyszłości i jak się odkujemy. Jesteśmy w sytuacji człowieka, który trochę przegrał w kasynie, ale jeszcze może się odegrać.

Nic więc dziwnego, że łatwiej też ulegamy bardziej globalnym wizjom przyszłości i ich katastroficznym kontrwizjom. Popyt jest tak duży, że konkretnej wizji trudno jest utrzymać się dłużej na rynku, dlatego łączą się one i przepoczwarzają bardzo łatwo, zależnie od tego, czym w danym czasie żyją ludzie. W latach 90., kiedy *Z Archiwum X* było jednym z najpopularniejszych seriali, w dobrym tonie było wypatrywać UFO i w spotkaniu z nimi szukać nadziei na zmiany. Polskie seriale niestety prezentowały dużo nudniejszy obraz rzeczywistości, karmiący się fantazjami o dworkach i lekarskich rodzinach z Sadyby, czyli lokalności i swojskości, której nikt nigdy nie widział. Opowiadanie tej arystokratyczno-mieszcząskiej historii jako historii uniwersalnej musiało inaczej ukierunkować ambicje całego pokolenia, wyrwijącego się dopiero do spełnienia snu kapitalistycznego społeczeństwa. Zapewne dlatego całe to pokolenie chodzi dziś zgodnie w koszulkach z serii tak zwanej odzieży patriotycznej, gdzie powstanie styczniowe miesza się z zapisanym po angielsku cytatem z Mussoliniego. Wizja patriotyczna obroniła się nawet w obliczu katastroficznnej wizji trującego glutenu.

Jak jednak każda wizja przyszłości, ta nacjonalistyczna też prędzej czy później przeminie, kiedy nastroje się zmienią. Co nie zmienia faktu, że to, co przyjdzie, może być jeszcze gorsze. Nie chciałbym jednak sam tutaj stawiać się futurystą, tylko wrócić do przebłysku świadomości Wowy Tatarskiego: oto paradygmat nowej polityki i drogi duchowej, wolnej od bólu niezaspokojonych ambicji i lęków związanych z nadlatującymi asteroidami czy GMO, skupionej na przeżywaniu zamiast zapośredniczeniu codziennego doświadczenia. W taką wizję przyszłości mógłbym uwierzyć.

Nigdy nie słuchałem osób, które krytykowały moje upodobanie do podróży kosmicznych, podrzędnych cyrkowych atrakcji czy goryli. Kiedy to się zdarza, pakuję swoje dinozaury i wychodzę z pokoju.

Ray Bradbury



H. Kielan
Percival Lowell

LITERATURA

Książka to najtańsza i najbardziej dostępna maszyna do podróży w czasoprzestrzeni. Jednocześnie wymaga od nas przekraczania siebie. Spoglądając w przeszłość, zanurzamy się w wyczytanych gdzieś tekstach, zapamiętanych obrazach, wypełnionych faktami i twardą realnością dawnych zdarzeń. Wychodząc ku przyszłości, jesteśmy jakby lżejsi, niesiemy ze sobą jedynie bagaż fikcji z elementami naukowych przepowiedni. Jednocześnie jest w tym coś bliższego, nawet jeśli oddalonego o tysiące lat świetlnych. Bliższego, bo wciąż jest przed nami. Przyszłość jest możliwa – nie tak jak przeszłość, już wykorzystana, zużyta. Pięć historii z przyszłości to pięć różnych istot, które patrzą na nas i opowiadają o przyszłym domu. Albo w tym świecie, albo w jego jednoczesnej, alternatywnej wersji. Pojawia się też komiks, prawie jak powieść, ale z narzucającym się obrazem, atakując obie półkule jednocześnie.

Orson Scott Card
Gra Endera
1985

Odebrałem im przyszłość; mogę im to wynagrodzić jedynie próbując nauczyć się jak najwięcej z ich przeszłości.

Dzieci to przyszłość. Dosłownie. W jednym z możliwych futurystycznych wariantów najmłodszy nie mogą polegać na dorosłych. Sami stają się dla siebie przewodnikami po moralnym świecie; sami stają do walki o przyszłość swoją, swojej rodziny czy ogólnie ludzkiej cywilizacji. Na takie spojrzenie w przód pozwala nam Orson Scott Card w książce *Gra Endera*. W tej powieści młodzi czytelnicy przeglądają się jak w zwierciadle codziennego życia, wypełnionego szkolną przemocą, brakiem wsparcia ze strony rodziców i poczuciem, że ciągle są na polu bitwy, a świat stoi na krawędzi. Zaskakujące: *Gra Endera* jest równie doskonale skrojona dla dorosłego czytelnika, który gładko zintegruje się z dziecięcym bohaterem. Przeraza jednak przemoc, która może doprowadzić do całkowitego unicestwienia innej rasy, bez jakiegokolwiek poczucia winy. Jednocześnie nie jesteśmy w stanie zrozumieć i wybaczyć bratu bohatera, agresywnemu psychopacie – bez trudu dostrzeżemy w nim podświadomość Endera, na którą tak łatwo można przelać wszystkie negatywne cechy i emocje. Bohater pozostaje inteligentny, nieskazitelny, wrażliwy, ale świadomy zniszczeń, których dokonuje. A mimo to jest pozbawiony winy. To dziecko w rękach militarnego rządu, manipulowane na każdym etapie szkolenia. Jest niczym narzędzie, które może być użyte w dobrym lub złym celu; samo w sobie pozostaje niewinne. Kibicujemy mu, współczujemy, cieszymy się z jego zwycięstwa. A potem odkładamy książkę i rozmyślamy nad konsekwencjami potencjalnej przyszłości, w której zagłady i jednocześnie zbawienia dokonają dzieci.

Cormac McCarthy
Droga
2006

Wyobraźmy sobie świat, w którym niemal wszystko zniknęło, a jedynym pożywieniem jesteśmy my sami. Nie wiadomo, co się stało: meteoryt, nuklearna wojna, ekologiczny kataklizm? Cały postapokaliptyczny krajobraz jest okryty warstwą niezmywalnego kurzu, poprzez który nie przebija się żadna roślina. Ludzie walczą o przeżycie, niszcząc wszelkie społeczne relacje. Okrucieństwo jest rozrywką samą w sobie, czasami też grą wstępną do kanibalizmu. I gdzieś tam, pomiędzy jednym zniszczonym miastem a drugim, ojciec dzieli się z synem ostatnią puszką z brzoskwiniami. Nie ma żony, matki ani rodzeństwa, a mimo to mamy małą rodzinę. Mężczyzna próbuje budować wizję świata, w którym ich istnienie ma sens (są „dobrymi ludźmi”, którzy „niosą światło”), zwłaszcza gdy ta mikrorodzina będzie musiała przejść kolejną przemianę. McCarthy oszczędnie dobiera słowa, pisze minimalistycznie, jakby chciał, byśmy zachowali energię na potem, byśmy mieli siły na przetrwanie. Jest ciągly niedostatek, poczucie braku, którego nie sposób wypełnić. Świat odpycha i niweczy złudzenia, ale mimo to relacja ojca i syna jest czymś istotnym, co przebija się przez szare, ciężkie chmury, nawet jeśli wiemy, że one nie przeminą i że nigdy nie zobaczymy pełnego słońca.

Grant Morrison i Frank Quitely
We3
2004

*– Być. Być gdzie?
– Być dom.*

To komiksowa baśń, cyberpunkowa wersja *Muzykantów* z *Bremy* Grimmów, a może raczej militarna fantazja na temat *200 mil do domu* Disneya. Futurystyczna opowieść o tym, jak wojsko efektywnie wykorzystuje zwierzęta jako broń, którą łatwo można kontrolować i po której nikt nie będzie płakał, gdy zostanie „zniszczona”. Ślady pozytywnej relacji człowiek–zwierzę dawno zostały zamazane przez kolejne treningi i misje, w których zwierzęta walczą w imię abstrakcyjnych ludzkich pojęć (naród). Jednak *We3* nie jest przestroga przed tym, co może się wydarzyć – lub też już się wydarza (Morrison zapytany, jak daleko jest przyszłość tej historii od naszego świata, odpowiedział: „Okolo pięciu minut”). To nie jest PET-owskie zawołanie o prawa zwierząt. To klasyczny komiks drogi, historia powrotu do domu, którego nigdy nie było. Patrząc na jedną z rozkładówek: posiekane kadry skutecznie oddają inny wymiar zmysłów zwierząt, znacznie bardziej wrażliwych i jednoczesnych w odbieraniu i przetwarzaniu bodźców. Inaczej czują czas, a ja nie mogę nadażyć za tym błyskawicznym refleksem. Jednocześnie jest tak dużo emocji: strachu, bólu, wzruszenia i tęsknoty. Patrząc na kadry zalane krwią i poczuciem winy – ich, bo w trakcie ucieczki instynktownie zabijają inne zwierzęta i ludzi; moim, bo wiem, jak bardzo byliśmy, jesteśmy i będziemy okrutni wobec zwierząt.

Adam Wiśniewski-Snerg
Robot
1973

Ma pan rację, twierdząc, że my już dziś dobrze wiemy, co w przyszłości zostanie osiągnięte z liczby naszych dzisiejszych marzeń. Odpowiedź brzmi: wszystko.

Ten literacki *Matrix* powstał na długo przed pomysłem sióstr Wachowskich na film z Neo. Książka Adama Wiśniewskiego-Snerga to filozoficzna opowieść, która nie pozostawia nam żadnych niespójności czy banalnych odpowiedzi. Tytułowy Robot to niejasna, cielesna istota, która próbuje wyzwolić się z bezwolności. Myśli, krytycznie rozwarstwa emocje i moralne dylematy, a jednocześnie nie jest w stanie ich odczuć. Trwa „tutaj” i „teraz”, czekając na sygnał, polecenie od rządzącego całym światem Mechanizmu. Świat przyszłości jest rzeczywistością po katastrofie: wszyscy (ludzie? roboty?) żyją w bunkrze. Przyjęcie punktu widzenia „bohatera” to przejście do kolejnej granicy naszego ewolucyjnego rozwoju. Snerg wykorzystał fikcyjną strukturę do opowiedzenia o swojej *Teorii nadistot*, którą możemy przyjąć jako literackie tło bądź jako prawdę o naszej rzeczywistości. Sama powieść jest zawiła, wielowarstwowa, a jednocześnie tak bardzo poruszająca i kontemplacyjna. Trudno o niej opowiadać, jeszcze trudniej oderwać ją od samej postaci pisarza, pogrążonego w depresji i niezrozumieniu, który za wszelką cenę chciał przekonać ludzkość do swoich teorii. Science fiction stało się płaszczyzną, na której przemyślenia przestały mieć charakter fizyczno-matematycznych wzorów, a stały się sercem opisywanej rzeczywistości.

Peter Watts

Rzeczy 2010

Będę się trzymać pozorów. Będę pracował z ukrycia. Uratuję ich od środka albo ich niewyobrażalna samotność nigdy się nie skończy.

Pamiętam dokładnie, jak pierwszy raz obejrzałam Coś Johna Carpentera. Mieliśmy z bratem kasetę z osiedlowej wypożyczalni, mama zrobiła nam późny obiad: pieczywo, sałatka i wędzony kurczak, wtedy moje ulubione danie. Zawsze przy kościach, chrząstkach widać było resztki zakrzepniętej krwi. Jedliśmy i patrzyliśmy na odległą Antarktykę. Mój brat szybko zrezygnował z obiadu, sama jadłam dalej, równie zachłannie patrząc w kolorowy kineskop. Miałam poczucie, że ten film zapamiętam do końca życia, jako potencjalny horror przyszłości. Wiele lat później czytam Petera Wattsa i wiem, że tych światów, które powinnam odkryć, jest znacznie więcej. Wzruszam się, współczuję temu dziwnemu gatunkowi, którego wcześniej się bałam. Odkrywam w nim podróżnika, a nie potwora; wyższą istotę, a nie krwiożerczą masę. To przewrotne opowiadanie napisane jest tak, że czytając, czuję się, jakby ktoś zrobił mi lobotomię, przekazując w zamian kawałek innego mózgu – czy też bardziej kawałek czegoś, co uruchamia we mnie myślenie na zupełnie innym poziomie. Mogę nawet zobaczyć w tym przyszłość człowieka, gdy ewolucja nas zaskoczy i zamieni nas w istotę, której historia będzie podobna do gatunku z Rzeczy. W przyszłości może nasza niewyobrażalna samotność się skończy? Ale inni i tak będą chcieli nas zniszczyć, tak jak my niszczymy innych.

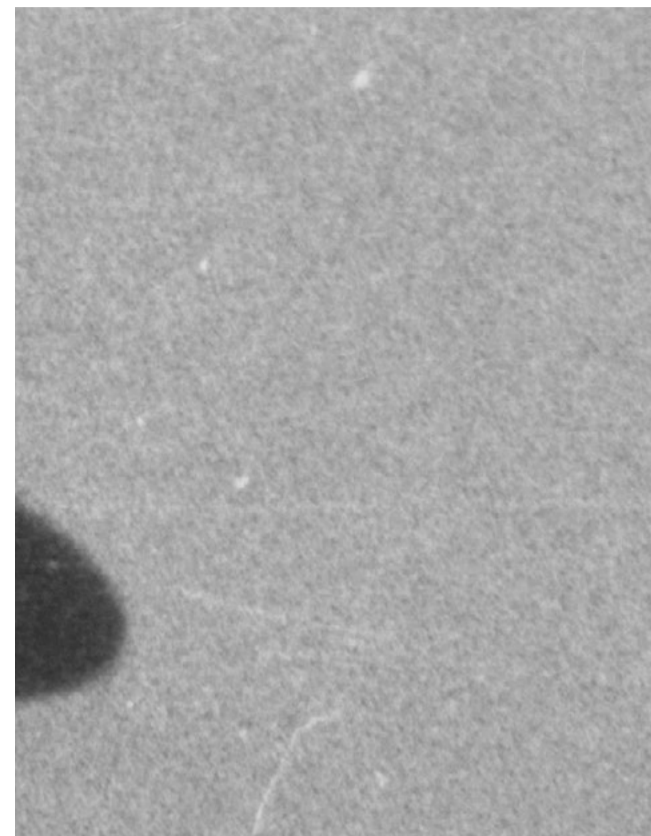
FILM

William Gibson zwrócił uwagę na wyzwajające oddziaływanie science fiction: gatunek ten daje nam poczucie, że nie jesteśmy odosobnieni w postrzeganiu świata jako potwornego i szalonego. Bo świat jest potworny i szalony. Teraz, w tej chwili. I by to zrozumieć, potrzebujemy science fiction, które przecież jest opowieścią o tym, co teraz albo dosłownie za chwilę. Film to poniekąd ułatwia, bo wyzwala z niekontrolowanej wyobraźni, stawiając na skonkretyzowane obrazy, emocjonalność muzyki i pozorną precyzję wypowiedzianych słów. Albo też utrudnia, bo nie daje wyboru, można jedynie zamknąć oczy, wyjść z kina, zrobić pauzę. Tylko na jak długo?

ŚWIAT

Jak osiągnąć taką ilość szczegółów, aby uwierzyli, że to rzeczywistość?

Pojemność gatunku science fiction jest myląca, bo powierzchownie zakłada się, że wszystko toczy się w przyszłości. Futuryzm często bawi się potencjalną apokalipsą, która po prostu niszczy plony (*Interstellar*, 2014) czy wszelką roślinność (*Niemą wyścig*, 1972), albo nawet źródło naszej ziemskiej energii (*W stronę słońca*, 2007). Czasami pokazuje świat, który trudno umiejscowić w czasie – niby jest to przyszłość, jednak zbyt plemienna, by uwierzyć w jej realność (seria *Mad Max*, 1979–2015). Jeszcze bardziej interesujące są zakrzywienia czasu, które mogą się wydarzyć nawet w garażu na amerykańskich przedmieściach (*Primer*, 2004) albo w szerszym kontekście historii ludzkości, nie dając jasnej odpowiedzi, co było pierwsze (*Planeta małp*, 1963 i kolejne). Możemy też wykorzystać nasz kosmiczny adres (Ziemia, Układ Słoneczny, Droga Mleczna, Laniakea) i zagłębić się w potencjał historii, która gubi jednoznaczność czasową. Niektóre filmy dzieją się w przeszłości w odległej galaktyce, mimo iż technologicznie wypierają teraźniejszość (*Star Wars*, 1977 i kolejne). Inne zaś w przyszłości, w której bez problemu poruszamy się po różnych galaktykach, dzięki zmianom po trzeciej wojnie światowej

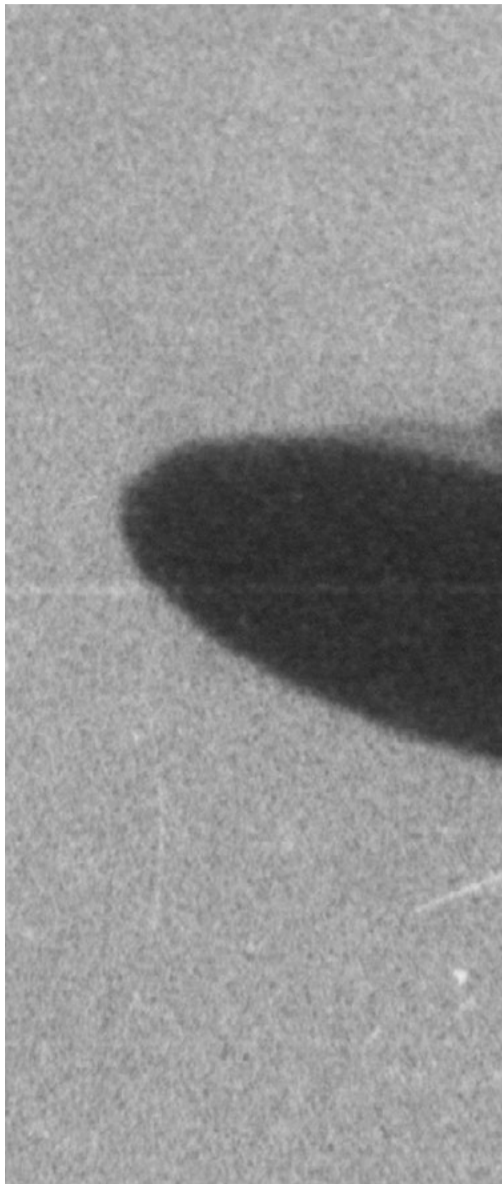


(seriale i filmy *Star Trek*, 1966 i kolejne). Albo nie ma żadnego aspektu zmiany czasu, zmieniamy jedynie układ odniesienia, przekraczając wrota do innego świata (*Gwiezdne wrota*, 1994), dosłownie wchodząc w świat gry wideo bądź komputerowego kodu (*Tron*, 1982; *eXistenZ*, 1999), czy też po prostu w umysł drugiego człowieka (*Incepcja*, 2010). Nie ma granic, nie ma czasu, nie ma przestrzeni – światy rozwarstwiają się, są w nich pęknięcia, przez które łatwo przeniknąć, uykając tradycyjnym podziałom na przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

CZŁOWIEK

Nasze hasło brzmi: „Bardziej ludzki niż człowiek”.

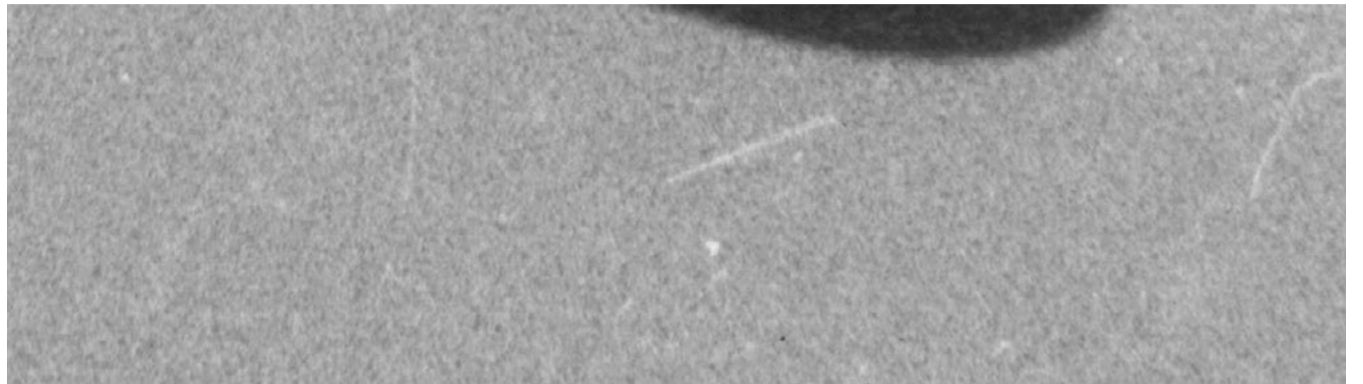
Każdy film science fiction sięga po technologię jako źródło informacji, że coś się dzieje nie-teraz. Jest to najsilniej widoczne w kontekście samego pytania, kim jest człowiek, co czyni nas ludźmi, jakie są potencjalne drogi ewolucji naszego gatunku. W fantazjach dotyczących rozwoju cywilizacji wszczepy i wszelkiego rodzaju sztuczne poszerzenie zmysłów czy możliwości umysłu są bardzo bliskie tego, co już możemy zaobserwować w kontekście social mediów, smartfonów i elektronicznych kontrolerów naszych ciał (odcinek *The Entire History of You*, serial *Black Mirror*, 2011). Przemiana może również przebiegać na poziomie DNA i futurystycznej eugeniki, nawet jeśli filmowa scenografia bardziej przypomina Chandlerowskie ulice (*Gattaca – szok przyszłości*, 1997). W technologicznej fantazji ta cienka granica pomiędzy człowiekiem a nieczłowiekiem sprawia, że szukamy odpowiedzi, gdzie jest moment różnicowania. Czy jest to pamięć i strach przed śmiercią? Jeśli tak, to przecież znacznie mocniej odbieramy androidy jako ludzi, tak wyczulonych na krótką radość z egzystencji i nieuchronny, szybki koniec (*Łowca androidów*, 1982). Czy może wystarczy mieć „duszę” (*Ghost in the Shell*, 1995)? A może ciało nie ma znaczenia, wystarczy jedynie uniwersalny świat emocji i duża dawka poczucia humoru, dzięki którym zbudujemy międzygatunkowe relacje (*Autostopem przez galaktykę*, 2005; *Strażnicy Galaktyki*, 2014)?



MIASTO

*Zasady są proste. Kto raz tam trafi,
już stamtąd nie wychodzi.*

Oglądam plany miast, urbanistyczne i architektoniczne kalkulacje, które nieustannie potrzebują weryfikacji w toku zawsze chaotycznego wdrażania. Ciągłe pojawia się marzenie o przyszłości, w której powstaje miasto idealne. Marzenie, które przeistacza się w nowe zarządzanie, milionowe badania i emocjonalne dyskusje, mniej lub bardziej publiczne. A przecież w kinie twórcy dawno już pokazali, że miasto przyszłości nie istnieje. Albo istnieje jako koszmar, błąd w druku, który uniemożliwia odczytanie sensów; jako plama, która rozlała się po kalce z rysunkiem. W mieście przyszłości ludzie są podzieleni jeszcze grubszą kreską, narysowaną przez genialnego architekta (*Metropolis*, 1927) czy też zaplanowaną przez maszynę (*Alphaville*, 1965). Albo w nowym świecie tracimy możliwość ucieczki: mosty zostają zaminowane, a potężny mur nagle oddziela miasto od jakichkolwiek oficjalnych systemów, pozostawiając nas samym sobie (*Ucieczka z Nowego Jorku*, 1981). Albo wyruszamy w kosmiczną przestrzeń, gdzie wszystko można zacząć od (właściwego) początku (*Elizjum*, 2013), zapominając o „gorszym” społeczeństwie na Ziemi, które zostało w syfie, chorobie i śmierci. Najbardziej lubię miasto, które już jest – jako połączenie niekończących się, rozświetlonych drapaczy chmur i zawilgotniałych niskich, ciasnych domów, gdzie w oknach ciągle suszy się pranie (*Akira*, 1988). W każdej wizji miasto wyznacza świat, z którego nie ma ucieczki, mimo pozorów happy endu.



KORPORACJA

*Mój program nie pozwala mi na działanie przeciwko
wysokim urzędnikom firmy.*

Kiedy w latach 80. i 90. oglądałam obrazy mówiące wprost o zagrożeniu związanym z wszechogarniającym działaniem korporacji, były to filmy science fiction: abstrakcyjna rzeczywistość, w której firmy decydują o porządku i prawie, o rozwoju gatunku człowieka i moralnych kontekstach kontaktu z obcymi. Teraz wracam do tych obrazów i zaczynam dostrzegać wizjonerstwo. Patrzę na załogę *Nostromo*, mało znaczących pracowników Weyland-Yutani Corporation, których ukryty cel wyprawy od początku związany był z pieniędzmi, zarobkami osiąganymi nawet kosztem życia ludzi (*Obcy – ósmy pasażer Nostromo*, 1979). Wątki te rozwija historia Sama Bella, który samotnie na Księżycu dochodzi do prawdy o swoim istnieniu, manipulowanym przez Lunar Industries (*Moon*, 2009). Jeszcze bardziej niż kiedyś porusza mnie teraz duszna i przesiąknięta przemocą zapowiedź wszechogarniającej korporacji Omni Consumer Products, która przejmuje zarządzanie policją w mieście (*RoboCop*, 1987). W ich marketingowym sloganie widać poczucie pełnej władzy nie tylko nad całym Detroit, wszystkimi mieszkańcami, ale również nad czasem (*We've Got the Future Under Control*). W filmach tych polityka schodzi na dalszy plan, chociaż w historii kina nie brakuje wizji bliskich Orwellowskiej przepowiedni (*Brazil*, 1985) czy też połączenia inwazji obcych, polityki i konsumpcji w jedno hasło: „bycia posłusznym” (*Oni żyją*, 1988).

PRZEMOC

*Był jedynym człowiekiem w historii, którego DNA
zostało połączone z obcymi genami i który pozostał
przy życiu. Jego wartość stanowiło to, że mógł obsłu-
giwać ich broń.*

Cała opowieść spina się klamrą. Zaczynałam od przemocy i kończę na niej. Przyszłość przesiąknięta jest przemocą niczym gąbka, która przez wieki nasiąkała i w końcu przemaka; krew wszystkich możliwych i niemożliwych istot przecieka przez palce. Zaczyna się od dzieci i wymuszenia na nich wzajemnego zabijania się (*Battle Royal*, 2000; *Igrzyska śmierci*, 2012 i kolejne). Przemoc jest obecna także w historiach o młodości i kontroli społecznej (*Mechaniczna pomarańcza*, 1971). Moją opowieść kończy prawnie uporządkowany apartheid (*Dystrykt 9*, 2009). I gdzieś tam pomiędzy pojawiają się mocne opowieści bez odwoływania się do brutalnych scen (*Star Trek IV: Powrót na Ziemię*, 1986; *Kontakt*, 1997; *Zakochany bez pamięci*, 2004). Noam Chomsky powiedział kiedyś, że ludzie, którzy posiadają władzę, doskonale rozumieją jedną rzecz – przemoc. I może właśnie dlatego historia przyszłości to historia przemocy, która jest teraz, tylko nierówno dystrybuowana.

Miasto „tej nocy” było granatowe stają się wtedy nerwowi
lubię miasto w odcieniach fioletu
granat jest taki urzędowy
to zabawne że dawny porządek pozostał w języku
słowa wymykają się komunikatom
świat odzyskany zakłada utratę całej reszty świata ha!
jesteśmy pogorzalcami a nikt nie zaznał ognia – to rzeczywiście wydaje się zabawne – na 10 HA

Przecież wiemy że należy zachować smutek
niczego innego nie dało się zachować *what a wonderful world*
and I think to myself jestem skazany na myślenie
lubię fiolet i ciemną zieleń
podpowiada nowe interpretacje wielkiej tragedii – to mit założycielski
ciemna zieleń jak gąszcz domysłów ha ha! gąszcz to wspaniałe słowo
złożone „ludzkie” motywacje nieprzewidywalność
ten rodzaj iluminacji stosuje się rzadko
bo nieprzewidywalność budzi w nas nadzieję

Wszystko co nam się zdarza wynika z usterek
małe zachwiania spięcia romantyczne akty bezpośredniego terroryzmu brawurowe ataki
lubię filmy o hakerach i piratach
dostrzegam piękno dawnych rejestracji
chciwości żądzy buntu tę różnorodność postaci – archiwalne piękno

Miasto przetwarza dane na ogół bezbłędnie
wielka tragedia nie powtórzy się nigdy no niestety jesteśmy tu bezpieczni
dlatego śpiąc w krystalicznej pościeli śnimy o eksplozjach
łatwiej jest wyobrazić sobie rozpad niż utonięcie
nigdy nie miałem w ustach kropli wody i nigdy nie brakowało mi powietrza

Jak każdy tutaj marzę o prawdziwej śmierci o rewolucji wymierzonej w granat
chciałbym eksplodować w granacie ha ha!
rozpaść się na srebrne igły krwawe błyski niech mieszają się kolory
krew przynosi nadzieję na fiolet a srebro
jest symbolem utraconej mowy
to w nas zastygło – krew i słowa – naprawdę zasługujemy na smutek
fantastycznie że nam pozostawiono możliwość odczuwania ha ha ha!
tylko ta nieruchomość bo poza tym wolno mi przecież wszystko
mam pełen zakres gestów symbolicznych z „pierdol się” łącznie

Czasami faktycznie decyduję się na przejście innej istoty – wybieram ją sobie
wysła mi momentalnie kod totalnej zgody
słabsze istoty pragną się oddawać zniknąć w innych istotach – ja wolę przejmować
kiedyś mówiło się kochać rozróżniano świadomość i ciało rodzaje miłości
dzisiaj mogę jedynie przejąć jej tęsknotę
przez 660 sekund czuję się wspaniale
kocham stare filmy pornograficzne i czasem żal nie mieć ciał no naprawdę
możemy tylko układać się pojedynczo na szklanych prześcieradłach
dotykać na odległość cudzych myśli obcego smutku kryształowej czaszki
ha ha! powiedziałbym że stukamy się jak kieliszki
gdyby tylko nie było to takie bezdźwięczne no niestety
tłuczemy się w absolutnej ciszy bez alkoholu
zostają nam po tym rozpieprzone informacje dokładnie tyle
ludzkość tworząc utopie często stawiała na szkło to także zastygło w języku
metafory zawsze inspirowały architektów – mogłem być architektem
szklane zamki podświetla się łatwo i z efektem 1000 WOW

Rewidowałem pamięć pośrednią i przypomniał mi się wiersz o poranku
o zimowym słonecznym poranku
sprawdziłem zimę słońce i poranek wyobraziłem to sobie
dlatego powiedziałem jej – tej którą wybrałem: Chodź poszukamy wyjścia znam drogę
typowe kłamstwo socjalne bezkarnie metaforyczne – wolno mi składać obietnice bez pokrycia
słabe istoty to lubią a niektóre nadal rejestrują się jako *female* to jest urocze takie *vintage*

Długo odlewałem jej ciało aż wydała mi się piękna
miałem ją w rękach w ustach wlewałem ją w siebie
cienkie strużki jej myśli wyobrażeń warstwa po warstwie to było przyjemne
kiedy zastygła we mnie śniłem sen o skórze – całe 60 sekund – potem sprawdziłem „skórę”
opis był czysto techniczny ale budził ekscytację...
to określenie „na zewnątrz” podnieca mnie zawsze
tak że aż robi mi się jasno
i pomyślałem ta jasność... jest prawie jak poranek
poczułem uniesienie poruszyłem się w myślach
moja tożsamość skurczyła się jak mięsień – elastyczna struktura którą kiedyś pokrywała skóra
a wtedy ona pękła we mnie – ta słodka istota moja wybrana
rozsyłała się w milion wdzięcznych mi odłamków
teraz informacyjny piasek wypełnia moje gardło
teraz mogę stanąć na głowie stałem się klepsydrą
ha ha pomyślałem że tak śmierć rodzi się w nas
z nieuwagi z tęsknoty – ciągle mamy szansę
sprawdziłem to i śmiertelność bije wszystkie rekordy wyszukiwań
a życie jedynie dodaje się do brandów określa termin aktualizacji nadal
jako słowo posiada potencjał reklamowy ale nie jest tematem absolutnie
kiedyś przypisywano mu prawdziwą wartość
ludzki bóg był poniekąd życiem...
potem spełniły się wszystkie jego obietnice
powstało z martwych to wspaniałe miasto pragnienia martwych wystrzeliły w górę
zastygły dźgając chmury ha ha nowy Manhattan
wszystkie ludzkie projekcje w miliardach wyświetleń
te miejskie iluminacje dają złudzenie ruchu zmiany
każdy z nas jest tylko ekranem i wyświetlamy się sobie jak człowiek człowiekowi *lupus est*
jestem jak każdy lubię zbierać słowa
nicość nazywam szkłem cierpienie kryształem jak to romantyk tęsknię za materią
chciałbym doświadczyć czym jest woda ziemia ale znam tylko mapy biblioteki
rozkoszuję się moim smutkiem karmię się piaskiem myśli rozsypanych istot
sam jestem w kategorii demiurgów na dalekiej pozycji
ale widzę jak rośnie
mój zasięg w nicości ha ha nicość jest przejrzysta
staram się utrzymać widzialność zwiększyć częstotliwość
każdą myślą
niczym hutnik puszczelarz dmucham szkło
dmucham szkło
ostrożnie obracam rurkę

Nie wiem kto
ale zerznęli nas w kryształ w naszych szklanych trumnach
zero HA
jak to możliwe że żadnej rewolucji nie zauważył nigdy nikt na czas



Europejska Stolica Kultury Wrocław 2016 prezentuje



12. Opowiadania

International Short
Story Festival

6-9.10.2016

organizator:

współorganizatorzy:

partner strategiczny:

współpraca:

patroni medialni:

finansowane przez:

